

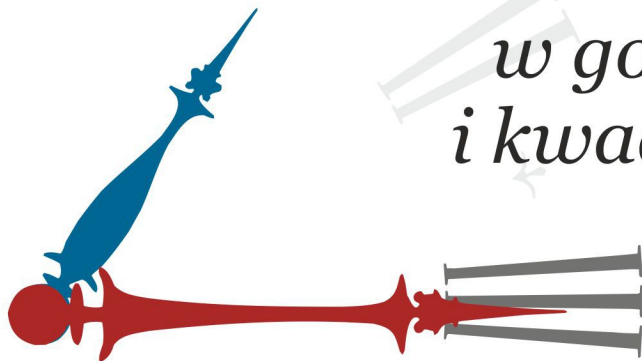
XVII

*dramaty*

**Jerzego**

**Szaniawskiego**

*w godzinę  
i kwadrans*



**Robert  
Żebrowski**

**rysunki  
Błażej Małczyński**

III



ISBN 978-83-963109-1-0  
Stowarzyszenie „Zegrzynek Szaniawskiego”  
Legionowo, 2021



Druk wersji papierowej sfinansowano ze środków  
Samorządu Województwa Mazowieckiego  
w ramach projektu „Szaniawski – (na) skróty do Zegrzynka”



Partner projektu: Stowarzyszenie Autorów ZAIKS

## WPROWADZENIE

Dramat czytany w domu, a nie oglądany na scenie, wiele ze swego uroku traci. Skoro już cicha lektura dramatu jest czymś wbrew jego naturze – poszliśmy dalej. Zamieniamy 15 dramatów (i słuchowisk) Szaniawskiego na krótkie opowiadania, dzięki którym czytelnik w kilka minut pozna treść dzieła i jego bohaterów, a także główne problemy tam poruszane. To oczywiście „kompresja stratna”, bo język opowiadki i język sceny nie przystają do siebie równolegle. Ale dzięki temu zabiegowi zabiegany codziennością czytelnik dowie się, o czym ów słynny Szaniawski pisał.

Te „skrót do Szaniawskiego” nie powstały w próżni. W niektórych kręgach, w niektórych środowiskach, Szaniawski odżywa, na nowo czytany i na nowo wystawiany, choć jego dramaty będą za chwilę obchodziły setne rocznice swych premier. Czy warto dziś Szaniawskiego czytać i komentować? Czy warto zawracać sobie głowę jednym z czołowych dramaturgów Sanacji i II RP, czy warto śledzić historie, co, na pozór, całkiem przebrzmiały w huku dziejów i w natłoku estetyk?

Skróty z dramatów, sporządzone w różnych konwencjach i z różną wobec autentyku wiernością – mają pomóc Państwu samodzielnie ocenić, czy warto wczytać się w Szaniawskiego, przebrnąć przez jego teksty, podjąć trud spotkania z niegdysiejszą literacką gwiazdą. Skrót jest po to, aby szybciej dojść do celu. Celem jest decyzja – czy Jerzego Szaniawskiego warto dziś czytać i oglądać – czy wręcz przeciwnie, pozwolić mu zniknąć w pomrokach rozwoju współczesnej kultury.

Nie ukrywam, że chciałbym, jako autor tych literackich prowokacji, coś z Szaniawskiego ocalić. Przy całej bowiem anachroniczno-

ści, zaściankowości, prymitywności nawet swych dramatów – stawia czasem Szaniawski pytania ważne – i ważne rysuje typy odpowiedzi na te pytania.

Po pierwsze mierzy się z idolem i molochem „prawdy”. To że „prawda nas wyzwoli” – od czegokolwiek – uznaje za bezprawny i uzurpatorski mit. Prawda rządząca życiem społecznym, i życiem jednostek, nie funkcjonuje tak, jak chcieliby etyczni puryści. Odwołanie się do „prawdy bezwzględnej” to według Szaniawskiego wybieg nieuzasadnionej dumy i pretendowania do wiedzy, jakiej pojąć się nie da. Powszechna jawność faktów jest mitem – a jego obrona może owocować zniewoleniem. O tym ostrzegają sztuki „Ewa”, „Żeglarz”, „Adwokat i róże” oraz słuchowisko „Zegarek”.

Po drugie zabiera głos w najpopularniejszym dziś dyskursie o „rolach płci”, a także o znaczeniu seksualności i w życiu, i w kulturze. Już debiut Szaniawskiego, Murzyn, był obyczajową prowokacją: jak to możliwe, aby stara baba dała się uwieść piętnastolatkowi tylko dlatego, że ma (ten 15-latek) czarną skórę? W innych sztukach padają uwagi i opinie bardziej bolesne: kobieta nie jest pełnoprawnym podmiotem społecznego życia; jest zawsze zależna od woli mężczyzny, ojca lub męża, narzeczonego lub kochanka. Tu przywołać musimy „Papierowego kochanka”, znów „Ewę”, „Most”, „Fortepian”, „Dziewięć lat” i wreszcie słuchowisko „Służbista”. Ale to nie reguła: są też dziewczyny z lasu, od zarania niepodległe, obce kulturze i wolne do bólu. Lecz generalnie – to postać kobieca pozwala wątpić męskim moralizatorom w wartość prawdy – tej „obiektywnej”. Wkrada się bowiem za każdą kobietą Szaniawskiego jakaś nieuchronna, choć nieuzasadniona, subiektywność, jakiś wybryk natury, jakaś schorzała emancypacja – i widać to od „Murzyna” po „Dwa teatry” we wszystkich jego sztukach.

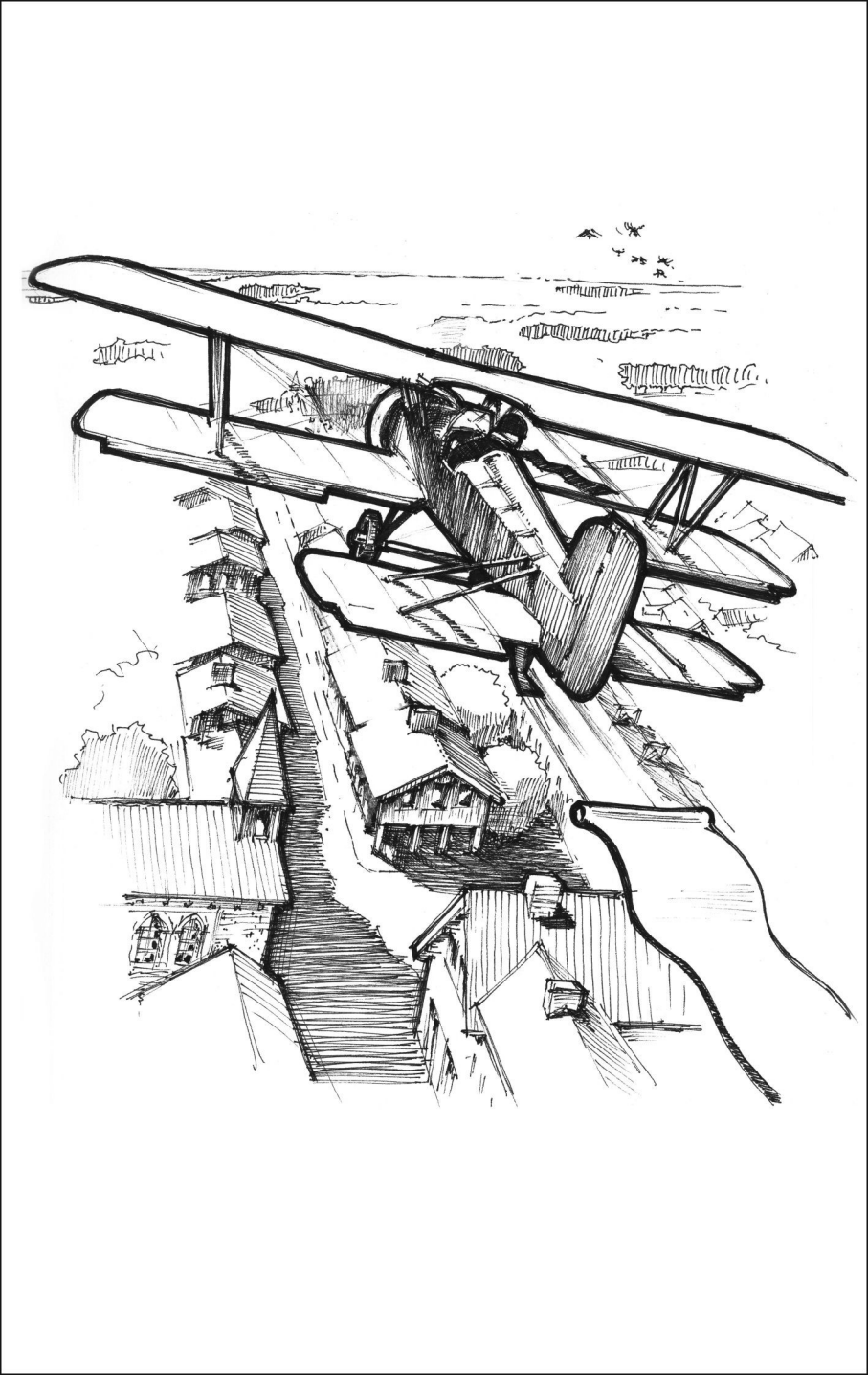
Po trzecie uobecnia i opisuje znanych sobie z doświadczenia wykluczonych: plebs, czerń, pospólstwo – jako plebs, czerń i pospólstwo. Nie zna kategorii „wykluczonych”. Ale ich zauważa – i po swojemu docenia. Każdy ma bowiem w systemie powszechnej współzależności wyznaczony rewir aktywności: jedni budują mosty, inni je

wysadzają, jedni skrobią politurę na fortepianie – inni skrobią kasę na kiczu, jedni biją się o miejsce z widokiem na wzlatający balon – a inni nim lecą. Ten anachronizm u Szaniawskiego (dla mnie, anarchisty, bolesny) jest jednak cenny. Pokazuje, jak obserwujemy jedni drugich zza ideowych i ekonomicznych barykad. Te przeciwieństwa pan – sługa, władca – poddany, ale też: mistrz – uczeń w większości dramatów Szaniawskiego wybrzmiewają, z różnym napięciem. I tu się niewiele w naszym świecie zmieniło od jego czasów.

Po czwarte – Szaniawski w swych dramatach wcale nie jest „subtelny”, co imputują mu miłośnicy Profesora Tutki. Owszem – właściwości języka, kultura wypowiedzi, oszczędność środków wyrazu, lapidarność dialogów – mogłyby nas zwodniczo w stronę „subtelności” skierować. Ale nie ona jest sednem przekazu zapomnianego twórcy. Sednem wypowiedzi artystycznej Szaniawskiego jest pazur niepoprawności, brzemię absurdu, doskwierająca opresyjność losu, z którymi my, poprawni ludzie i obywatele, musimy się mierzyć. Przykładem znów – dramaty wszystkie.

Po piąte zatem – i ostatnie – nie jest tzw. samotnik z Zegrzynka piewcą tego, co jest, wbrew temu, co nie istnieje. Szaniawski nie jest konserwatystą – jest buntownikiem. To, czego nie ma, wydaje mu się bardziej wartościowe od tego, co znamy z doświadczenia. Wychodzi poza oczywistość – jaka by nie była – ku temu, co sobie wyobraził jako ideał, jako cel, jako punkt zwrotny ludzkiego ekstremalnego doświadczenia. Jego dramaty „dojrzałe” żyją życiem młodzieńczego „Lekko ducha” - i bez „Lekko ducha” trudno je odczytywać. Nie odzwierciedla Szaniawski „subtelnie” mieszczańskich niuansów – lecz obala mieszczańskie mity u podstaw. Walczy. Delikatnie i elegancko – bo tak go nauczono – toczy bój o sens naszego życia. Swojego życia. Twojego życia. Mojego życia.

Za to lubię Szaniawskiego. I tymi literackimi uzurpacjami spłacam dług wobec zapomnianego dramaturga.



## LEKKODUCH

Złoty aeroplan wylądował na podmiejskich, pustych parcelach sprawnie i miękko. Krążył wcześniej nad miastem z zawieszoną pod nim wielką czerwoną wstęgą, a kiedy już siadł na polu, wyszedł z niego pilot w równie czerwonym jak wstęga fraku. Zbiegającym się z pobliskich osiedli gapiom wydawało się, że pilot przypomina nieco znanego aktora, Juliusza Osterwę, lecz większość uznała później to podobieństwo za pozorne. Wsiadający z samolotu pilot zmierzył tłumek gapiów przenikliwym, tajemniczym spojrzeniem i uznał, że niebawem z usług owego tłumku skorzysta, choć jeszcze nie wiedział, jak. Niektóre scenariusze nabrzmiewają niespodziewanie w chwili ostatniej i to jest dopiero chwila dla nich właściwa.

Zanim chwila właściwa nastąpi, dużo krwi musi przepłynąć przez ludzkie serca i dużo myśli przedrążyć ludzkie mózgi, dużo towarów musi znaleźć nabywców i wielu kupców zysk.

Oto na przykład kupiec handlujący rozmaitymi rodzajami płócien Hieronim Gauer i jego klient hrabia de Vevey. Kupiec właśnie wyszedł na chwilę ze swego składu, pozostawiając na interesie siostrzeńca Michasia, tego interesu spadkobiercę, i kasjerkę Renę, tego Michasia ukochaną. Hrabia de Vevey wkracza do składu i od progu olśniewa go uroda ukochanej Michasia. Wybiera pożądane płótna opornie, komplementując uroki Reny obficie niż uroki płócien. Michaś zachowuje spokój, ale staje się z czasem coraz bardziej zazdrosny, bo Rena coraz mocniej reaguje na anonse hrabiego.

Wizyta hrabiego w składzie płócien ma miejsce wtedy, gdy nie śniło się jeszcze nikomu lądowanie złotego aeroplanu na skraju miasta. Miasto jest jeszcze stabilne i uporządkowane. Skład płó-

cien H. Gauer sąsiaduje ze szkołą, do której chodził Michaś, a której to szkoły dyrektor pragnie bardzo od właściciela składu kupić plac, na którym rosną mityczne dla uczniów stare kasztany, aby zbudować tam nowy internat. Gauer systematycznie odmawia, bo do kasztanów jest sentymentalnie przywiązany, dyrektor systematycznie nalega.

Hrabia de Vevey na nic nie nalega i niczego nie odmawia. Zdetronizowano go boleśnie w jakimś niewielkim państewku i osiadł u nas, czyniąc sobie punktem honoru bezbłędne opanowanie polskiej mowy. Chwali się tym na każdym kroku, przy okazji kokietując wszystkie piękne panie i z nostalgią wspominając swych niewdzięcznych poddanych.

Rena, kasjerka u Gauera, narzeka często i wydaje się jej, że ukochany Michaś zbyt wielu rzeczy jej odmawia. Gdyby wymógł na swym wuju wyższą pensję – mogliby się pobrać natychmiast – ale Michaś na wuja nie nalega, a staremu Gauerowi do przyznania podwyżki i ożenku siostrzeńca wcale nie spieszo.

Wszystko to obserwuje służący w sklepie hurtowym i domu Gauera Konstanty, niegdyś królewski kamerdyner de Veveya, teraz czujny odźwierny płóciennego składu. A jest co obserwować i czego słuchać. Rena na przykład zwierza się przed Michasiem, że płakała na sprawie sądowej jednego wojskowego co dla ukochanej pieniądze państwowe zdefraudował; to był mężczyzna! Godzien tych wszystkich kwiatów, jakie mu po przegranym procesie rzucały pod nogi wzruszone kobiety.

Michaś nie ulega ukochanej i wuja nie ograbia ani nie zabija – wuj umiera sam, nagle, ale naturalnie, zostawiając siostrzeńcowi firmę i dom w spadku. Niedługo po pogrzebie starego Gauera na podmiejskich łąkach ląduje złoty samolot, który już widzieliśmy z daleka. Teraz przyjrzymy mu się z bliska, oto bowiem w odnowionym, nowoczesnym salonie państwa Reny i Michasia, salonie urządzonym z ekspansywną lekkością i skrupulatną dbałością o odmienną od innych salonów pojawia się pilot złotego samolotu odziany w czerwony frak.



Pilot ten to młodzieniec o przezwisku Lekkoduch, dawny kompan Michasia ze szkolnych czasów, już wówczas obibok i wałkoń, buntownik i anarchista, prześmiewca i prowokator – a dziś zmotoryzowany w powietrzu pracownik firmy o wdzięcznej nazwie „Reklama Wszechświatowa”. To on ze swego aeroplanu wrzuca reklamowe ulotki w otworzone ze zdziwienia paszcze tłumów. Dziś przybył do miasta, gdzie mieszka Michaś, z sentymentu – i w oczekiwaniu na nowe zlecenia.

Zlecenie dla firmy „Reklama Wszechświatowa” w miasteczku brak, ale pojawia się bliższe sercu Lekkoducha niż służba w firmie – zlecenie na rewolucję.

Oto jak się sprawy mają: jak było już wspomniane, dyrektor szkoły chciał kupić od starego Gauera plac z kasztanami na postawienie w ich miejsce większego internatu. Gauer protestował, ale Michaś, jako nowy właściciel, protestować przestał i plac sprzedał. Lekkoduch przybywa na dzień przed planowanym wycięciem mitycznych drzew; drzewa kwitną; Michaś płacze z powodu swego błędu i pazerności; Lekkoduch pociesza: Nic straconego, zrobimy Rewolucję! Nie damy naszych drzew!

Michaś, jego żona Rena, służący Konstanty, hrabia de Vevey przystają na rewolucyjne rozwiązanie. Szczęśliwie w domu Michasia są sprowadzone przez Renę zabawki (za młodu cierpiała z ich braku): drewniane szabelki, plastikowe karabiny, tekturowe hełmy, złociona dziecinna korona. Teraz, w rękach Lekkoducha, staną się narzędziami rewolty. Rewolucja będzie przeciw Republice (bo ta istnieje) – za Królem (bo ten pozbawiony jest władzy, ale obecny – jest nim oczywiście de Vevey); rewolucja będzie dziełem młodych i wykluczonych; wzywa się do michasiowego salonu skłonnych do buntu uczniów: Czeppego, Gwincika, Fifulskiego, Radłowickiego i Zawiszę; wzywa się pana nauczyciela muzyki Milano, aby reaktywował „Wielką Orkiestrę” tutejszego gimnazjum; wzywa się pokojówkę, aby zadeklarowała darcie szarpi i pajęczyn na rany oraz tęsknotę ludu za muzyką, krwią i opatrunkami; wzywa się hrabiego, aby założył dzieciną koronę, a uczniów, aby wzięwszy w ręce drewnianą broń, a na głowy papierowe hełmy stali się strażnikami rewolucji.

Przy salonie jest balkon. Wszak to główne narzędzie rebelii – głos z balkonu powiedzie zebrane pod nim tłumy do rewolucyjnej zmiany świata. Wszyscy stają na progu balkonu.

Jakże piękni są Lekkoduch i Czeppe dyskutujący tam o tym, czy Rewolucja to przede wszystkim Idea, czy przede wszystkim Technika! Idea Lekkoducha ulega w końcu technice Czeppego – aby zwyciężyć. W błyskach reflektorów, w obfitości wskazującego światła, wyjmującego obiekty z wieczornego mroku, w obfitości dźwięku, wyjmującego wykluczony głos z przepisanej kulturą ciszy – mistrz buntu i rewolty przemawia:

„Rozkazuję dzisiaj odwracać do góry nogami przyjęte powszechnie pojęcia. Żart traktować jako rzecz poważną... Mam podłą opinię. Podłą wśród waszej władzy – ale nie wśród was. Zjawiłem się tu, aby obalić waszą władzę. Przede wszystkim: władza chce wyciąć drzewa. Władza nie pytała was, czy jej to zrobić wolno... (pod balkonem zbierają się uczniowie szkoły coraz liczniej) Stańmy w obronie drzew! To będzie walka z władzą. Wszelka władza pochodzi od silnych. Wczoraj oni – dzisiaj my. Nie dajmy się. Ich siła – to powaga. Zlekceważmy w ogóle tę powagę. Lekceważcie autorytety i wielkie nazwiska... (do uczniów przyłączają się przypadkowi gapiowie) Kole-dzy! Rozluźnijcie obyczaje. Kpijcie z obowiązków! Drwijcie z zasad. Pozwalam wam lekceważyć rzeczy uznane. Możecie bez szacunku wymawiać imię naszej najstarszej feministki... (grupy pod balkonem zmieniają się w tłum, światła i muzyka puszczane przez Czeppego działają) Widzę przed sobą wszystkie stany. Zrozumcie, odczujcie, po co się tu zjawiłem. Ciągłe narzekacie na to, co jest teraz. Niech będzie inaczej... (tłum faluje, wydając z siebie odruch rewolucyjnego wrzenia) Zlekceważmy utarte znaki, symbole, powiedzenia: rak się nie cofa, żółw nie chodzi żółwim krokiem...”

Każdy przyzna, że nie sposób było tych targających świętości, ale też świętych w dwójnasób zdań Lekkoducha nie zacytować. Czy uchwalił się w dwudziestym wieku choć jeden buntownik i anarchista, choć jeden zrewoltowany mieszczanin albo kontestujący artysta, choć jeden rebeliancki student, co by się pod nimi, choćby chwilowo, nie podpisał?

Po rewolucyjnej oracji czas na rewolucyjną praktykę. Wszyscy na miasto! Starzy, młodzi, kobiety, dzieci – na miasto! Muzyka forte i moc sztucznych świateł! Babcia Daniela Cohn-Bendita kroczy obok dziadka Joschki Fischera. Z ogniem w piersiach, z ogniem w oczach, rozżarzają, co ciemne, w ruch puszczają, co żyje; z burzą, z szaleństwem bez granic.

Poranek po nocnej rewolucji jest pogodny, majowy, choć chłodny. O świcie rewolta już śpi, śpią aktorzy rewolucyjnych wydarzeń. W salonie wychodzącym na tak żywy wieczorem balkon nie śpią tylko Rena i Lekkoduch, pierwsi przebudzeni ze zrewoltowanego snu. Rena uwodzi Lekkoducha, on stara się być chłodny i rozsądny, więc na każde gorące słowo kobiety buntownik odpowiada zdaniem zimnym jak kamień, jak lód. Broni się przed Reną jak może, ale przecież musi ulec, bo ulec chce. Kiedy całują się namiętnie na środku salonu – wchodzi Michaś.

Po rewolucji broń leży na podłodze, jak pieniądze na ulicy – Michaś chwyta z podłogi zagubioną dziecinną fuzyjkę i strzela do Lekkoducha. Ten przyznaje, że został zabity. Karykaturalny rekwizyt kreuje farsę zdradzonego męża i dramat wpadki uwodziciela. Bo to przecież on, opierając się, uwodził; on w cieniu politycznej rewolty zarzucił sieć na realny bastion mieszczańskiej poprawności – małżeńską wierność. Nie po raz pierwszy.

Niebawem zjawia się w salonie dyrektor szkoły, twierdząc, że strażnicy rewolucji zdemolowali w buntowniczym nocnym zapale szkolną kuchnię, zatem poranne mleko dla uczniów przywiezione właśnie do szkoły musi ugotować w kuchni Michasia. Widząc zakłopotanie dawnego ucznia pociesza go, jak umie: kiedyś, dawno temu, jemu również Lekkoduch uwiódł żonę. Żona po tym incydencie do niego wróciła, bo do takich, jak my, zawsze wracają. Wszak mieszczańska przyzwoitość stoi na tak mocnych podstawach, że nawet na drobną perwersję może sobie pozwolić bezkarnie. Dyrektor wkroczył do salonu ze swoją połowicą, która z Lekkoduchem wymienia głębokie spojrzenie; ale to poranek po rewolcie, a nie noc buntu: to spojrzenie, choć głębokie, jest z gruntu niewinne. Jest

czas, i jest Czas. Nasz, stałych w trwaniu, pisze się literą wielką; czas uzurpatorów pisany jest małą – bo jest krótki.

Opinię dyrektora szkoły potwierdza przybyły w ślad za nocnymi wydarzeniami Pan z Policji. Rytualnymi pytaniami bada Lekkoducha. Ten proponuje zakucie siebie w kajdany. Pan z Policji pozbawia Lekkoducha złudzeń: nie dla każdego zacne państwowe kajdany! Kajdany są dla spraw wagi szczególnej, a tu mamy sprawę wagi lekkiej, incydent jednorazowy, kukielkę w czerwonym fraczku, maleńki punkcik czerwony. Policja oficjalnie Lekkoducha nie zauważa, proponując mu dżentelmeński układ: pan stąd znikasz, my pana nie aresztujemy; tylko odleć na swych złotych skrzydłach – a sprawy nie będzie. Będzie milczenie o niczym – bo i o czym tu mówić?

Czeppe podczas tej rozmowy zabiera swoje aparaty potęgujące wczoraj światło i dźwięk. Przydadzą się niebawem na oficjalnych rocznicach państwowego bohaterstwa i kościelnego męczeństwa; światło i dźwięk głuche są na ideologię; a sam Czeppe? W dostępnym nam czasie wydarzeń Czeppe nie ujawnia się – jest tylko tłem.

Pozostali na placu dwaj piękni mieszczanie – Michaś i dyrektor szkoły. Obaj zdradzeni przez żony i obaj obawiający się powrotu Lekkoducha. Słuchają, jak grzmi nad nimi złoty, odlatujący aeroplan. Dyrektor ma już swoje lata i wierzy, że za jego życia Lekkoduch już nie powróci; Michaś, świeżo pożeniony z Reną, przed chwilą doświadczony zdradą, świadek rewolty w jej zarodku i rozwoju, a nawet rozkwicie, nie jest już takim optymistą. I nie wie, co gorsze – żeby Lekkoduch pojawił się ponownie osobiście i realnie – czy żeby pojawił się we śnie: jemu, jego żonie, uczniom gimnazjum, albo komu jeszcze... tłumom... buntownikom...

## **PTAK**

„Obywatele! Jutro, gdy po niedzielnym nabożeństwie wyjdziecie z kościoła, zgromadźcie się na rynku. Gdy zegar uderzy dwanaście razy, a z wieży zabrzmie głos hejnału, podnieście głowy wysoko. Uwaga! Wyleci wówczas ku niebu wielki złocisty ptak!”

Burmistrz naszej prowincjonalnej miściny odczytał tę zadziwiającą odezwę zaskoczonym miejskim radnym: lekarzowi Anzelmowi, hodowcy gołębi Eustachemu, fabrykantowi świec i pierników Sylwestrowi oraz właścicielowi narożnego domu Sebastianowi na koniec spotkania Rady, niezbyt udanego i nieznośnie rutynowego. Czerwone tło afisza, na którym treść ową umieszczono, nie wzbudziło zaufania zebranych. Tylko kontestujący miejskie tradycje sekretarz rady patrzył na afisz okiem łasym nowości, z nieukrywaną tęsknotą za jakąkolwiek zmianą.

A zmiana rosta już i pęczniała w niewielkim, ozdobnym pudełku na strychu jednej z miejskich kamienic, gdzie tuż pod tym strychem, na poddaszu, mieszkanie wynajmował nowo przybyły do miściny dziwny student. Pudełko malowane delikatnymi chińskimi barwnikami zawierało jedno duże jajko, które cudem niemal przebyło, dyplomatyczną pocztą, długą drogę z Państwa Środka do nas; wcześniej tajemniczy student poddawał jajko tajemniczym procedurom, opisanym w książce, przysłanej mu wraz z jajkiem przez chińskiego konsula, a traktującej o sztucznym wylęganiu.

Radni miściny naszej, rzecz jasna, o sztucznym wylęganiu pojęcia żadnego nie mieli, nie mieli też pojęcia o tym, że student, autor afisza, jest synem (i to w dodatku nieprawym) konsula w Chinach, co dziecku swemu śle od czasu do czasu pieniądze, a z rzadka inne ciekawostki.

Naszym radnym, ani naszemu burmistrzowi, żadnych ciekawostek nikt nigdy nie posyłał. Otrzymywali służbowe egzemplarze lokalnych gazet, z których jedna, „Dzwon spiżowy”, bardziej była konserwatywna, a druga, „Grzechotka drewniana”, bardziej plotkarska. Tylko sekretarz rady pisma współczesne krajowe i europejskie prenumerował, doprowadzając do szału radnych, kiedy nowinki w nich zawarte pozwolił sobie podczas posiedzeń śmiało cytować.

Dzisiaj nawet, podczas spotkania, na które wszyscy uczestnicy spóźnili się ponad godzinę, narzekając na rześisty deszcz i otrząsając parasole, zaatakował ich niespodzianie domagając się zamiany gęsich piór służących do protokolowania posiedzeń na pióra stalowe, twierdząc prowokacyjnie, że ludzie już i nowsze metody pisania po papierze wymyślili. Ale czegoż można oczekiwać po kimś, kto uważa, iż są teraz w muzyce zjawiska bardziej niezrozumiałe niż Wagner?

Tolerowali zatem radni swego sekretarza, by tak rzec, siłą tradycji, choć on nieustannie tradycje właśnie podważał. Ale skarg nadesłanych radzie przez mieszkańców naszej miejsciny nikt lekceważyć nie mógł. Na ich rozpatrywaniu minął miejskim włodarzom czas poprzedzający lekturę przedziwnego afisza o ptaku.

Obywatel Jan Borka domagał się odszkodowania za swoją ukochaną siwą kobyłę, która na dziurze w miejskim moście złamała nogę. A cóż radę obchodzi, że kobyła to siwa i ukochana? I dlaczego odszkodowanie za całą, gdy tylko jedną nogę złamała? Co innego mikroskop miejskiego weterynarza, służący do badania wieprzowego mięsa; jeśli jest pozbawiony niezbędnych dla mikroskopu szkiełek powiększających, funkcji swej nie spełni i pasożytów szkodliwych dla zdrowia nie wykryje. A gdyby nie wykrył ich w mięsie dla radnych przeznaczonym? Szkła ufundować weterynarzowi trzeba. Inna rzecz barometr publiczny, proponowany przez obywatelkę Joannę Figową. Jak świat światem kobiety rozpoznawały zbliżający się deszcz po darciu w kościach, i niech tak zostanie; a jeśli Figowa za młoda, by ją w kościach darło, to trudno, funduszy na fanaberie nie ma. Nie ma też funduszy na likwidację monstualnych kałuż na ulicach, a obywatelka Franciszka Strudlowa, ironicznie napastliwa

w swym piśmie do rady, niech sobie na własną rękę lub nogę w tych kałużach pływa, skoro stać ją na takie wykoncypowane złośliwości.

Kiedy rada pochyła się nad tymi przypisanymi jej przez tradycję kwestiami trudnego zarządzania obywatelskim niezadowoleniem – na strychu nad mieszkaniem studenta efekt sztucznego wylegania bije już skrzydłami o dach kamienicy, domagając się uwolnienia. Student, wirtualny ojciec ogłoszonego afiszem ptaka, patrzy niespokojnie w okno; jego wytwór niebawem poleci w miejskie niebo; złoty ptak ułudy i wyobraźni.

Burmistrz i jego kompani też mają wyobraźnię. Czytają czerwony afisz i myślą: co się za tym kryje? Co to znaczy: ptak? Czy ktoś, chcąc wypuścić ptaka w niebo, chwaliłby się tym na czerwonym afiszu? Czy to koncept terrorysty czy tylko rewolucjonisty? Jakie legiony szatana lub anarchisty kryją się za złotym ogonem i barwnymi skrzydłami?

Mieścina nasza jest mała i niektórzy odwiedzający nas „obywatele świata” nazywają ją nawet prowokacyjnie „dziurą dziur”, zbiorowiskiem „typków”, proponują wsadzić ją w całości pod kosz i jako antyk wątpliwej jakości sprzedać dorobkiewiczom. Nie nam to osądzać. Prędzej osądziłby to postępowy sekretarz rady, ale okazało się, że nie jest tak prędko w postępowym postępowaniu jak młoda burmistrzanka. Zaszczepiona prowokacyjną treścią czerwonego afisza odnajduje ona na poddaszu studenta i wypytuje o ptaka.

Żeby zachować ścisłość – nie o ptaka ogłoszonego pyta, lecz o to, co za ptakiem się kryje. Ma bowiem nadzieję; rzadka to rzecz w naszej mieścinie, ale niektórzy ją mają. Oto więc burmistrzanka dowodzi studentowi, że przeciw rewolcie, wznieconej pod pozorem ptaka, nic nie ma, trzeba bowiem obudzić ten uśpiony grajdołek rewolucyjnym wystąpieniem, atakiem na oczywistości, rebelią przeciwko skostniałej tradycji.

Student nie rozumie. Jaka rewolucja? Jaka rewolta? Przewrotu nie będzie, bo to tylko ptak. O nic więcej przecież nie chodzi, niż o wypuszczenie pewnego pięknego co prawda niezwykle, ale

obojętnego ideowo produktu sztucznego wylegania. Ptak to tylko ptak.

Kiedy student tłumaczy niewinność ptaka burmistrzance, do jego drzwi puka sekretarz rady. Burmistrzanka ukrywa się w alko-  
wie studenta i słucha z ukrycia. Sekretarz też liczy na ptaka, na  
jego uzdrawiającą ospałą mieścinę moc, na jego buntowniczą po-  
tencję. Student wytrwale tłumaczy nieporozumienie: po rewoltę to  
nie do mnie! Uśmiechnijcie się do jakiegoś Lekkoducha – ja nie  
mam o ofercie rewolucji, tylko złotego ptaka, co niewinnie i obojęt-  
nie wzniesie się w niebo.

Po oczekujących zmiany przychodzą reprezentanci tradycji; do  
pokoju studenta wkracza cała rada miasta z burmistrzem na czele.  
Sekretarz, nakryty przez swych szefów na gorącym uczynku, umyka  
chyłkiem. Przybyli próbują przekonać studenta, że przecież ptak  
ogłoszony afiszem ptakiem tylko być nie może – student nieco już  
znużony sugestiami potencjalnych wrogów reaguje na nie podob-  
nie, jak reagował na sugestie potencjalnych współników buntu: głó-  
si nicość nieuprawnionych oczekiwań. Przecież chodzi tylko o to,  
żeby było wesoło, żeby było pięknie!

Zamykające w sobie całą naszą tradycję miejską wieloosobowe  
ciało rady próbuje podważyć, wobec upartych zaprzeczeń studenta,  
założenie, że warto coś robić tylko dla zabawy i dla piękna. Wszak  
wiele jest potrzeb – więc może akcja charytatywna – oto czekają  
sieroty, wioślarki pozbawione przystani, straż ogniowa bez sikawek,  
akademiczki bez domów, dzieci bez tranu. Student jest nieugięty:  
skalać loterię charytatywną ptaka nie mogą!

Radni wychodzą – na zacisznym poddaszu zostaje tylko niewinny  
student i pełna nadziei burmistrzanka. Pomiędzy nimi – młodymi  
i niespełnionymi w tęsknotach – nagi miecz dziecięcej niewinności.  
Ona niby chce wyjść, ale nie wychodzi; twierdzi, że to on ją zatrzy-  
muje, choć on przecież tego nie robi; mówi tylko, że nie chce być  
w tej chwili sam. A chwila jest wielka – bo zegar na wieży bije  
dwanaście razy i przez otwarte okno dobiegają młodych dźwięki  
hejnału. Już czas.



Student wbiega po schodkach na strych i otwiera okienko, uwalniając ptaka, swoje marzenie, swoje nadmiarowe piękno, swoją tęsknotę za nieznanym. Ptak szybuje wysoko i powraca, prezentuje się dorodnie przed oczami tłumu obywateli naszej miejsciny, krąży nad rynkiem, macha wielkimi kolorowymi skrzydłami, wachluje złotym ogonem. Jak napisano na czerwonym afiszu: wyleciał ku niebu wielki, złocisty.

Burmistrzanka patrzy na studenta takim wzrokiem jak obywatel Borek na ukochaną siwą kobyłę, jak obywatelka Figowa na nieistniejący miejski barometr, jak obywatelka Strudlowa na przeprawy nieobecne nad miejskimi kałużami. Mówi, że ptak był cudny, ale że nie widziała ptaka. Student jeszcze nie rozumie, ale gdzieś w głębiach psyche podobnych do wnętrza wymalowanego pudełka przysłanego z dalekich Chin czuje to samo, co czuł hodując egzotyczne jajo na obiekt uniesień, zaoferowanych tłumom; komu teraz zaoferuje swoje uniesienia? I kto jemu podobne uniesienia okaże?

Życie naszej miejsciny nie kręci się wokół alkowy tajemniczego studenta, jeśli nawet ten wypuścił ptaka – i tylko ptaka – i jeśli nawet pewien czas w tej alcewie spędziła urodziwa burmistrzanka. Życie nasze kręci się wokół rady, która właśnie zebrała się w ratuszu, aby omówić ostatnie dziwne wydarzenia.

Burmistrz i radni odetchnęli z ulgą. Czerwony afisz nie zwiastował jednak rewolty, buntu, pogromu, profanacji, świętokradztwa ani innych społecznych anomalii. Ptak leciał, jak leciał, lud patrzył, jak patrzył – i nie stało się nic.

Co prawda na mieście wyczuwało się pewien niepokój, ludzie chodzili grupkami i gestykulowali, zapominali kłaniać się starszym i można było mieć wrażenie, iż lekceważą powagę; co prawda radni przyznali się do dziwnego dreszczu, jaki powagę ich pleców naruszył podczas pokazu, przyznał się do tego nawet burmistrz – i on to właśnie orzekł, że to stan dopuszczalny, ale człowiek głębszy przyznać się do tego nie może. Co nie przystoi starszym, przystoi dzieciom. Radca Sebastian, który w narożnym domu wychowuje sześciu przeznaczonych dla ojczyzny synów przyznaje, że synowie ci, plastycznie uzdolnieni, wszyscy, jak jeden, po pokazie na rynku malo-

wali ptaka – i u każdego z nich ptak ten wyglądał inaczej, choć to samo przecież widzieli.

Radni jednak muszą wszyscy widzieć to samo i w należnym, poważnym porządku, próbują zatem nieznanym jeszcze skutkom wlotu ptaka zawczasu zapobiec, bo, jak wiadomo, strzeżonego... Wymyśliwszy sposób upupienia ptaka (wraz ze studentem) postanawiają wpłynąć na prasę lokalną, aby ta wydarzenie całe racjonalnie umniejszyła, wskazując drukiem drobnym i niepozornym, że to bagatela godna jedynie zlekceważenia, a ptak na pewno nie orzeł – dudek raczej.

Listy do dwóch redakcji gazet zostały właśnie wysłane, gdy do ratusza wkracza student i ogłasza publicznie, iż przyszedł burmistrza prosić o rękę jego córki. Na to wkracza burmistrzanka i pyta studenta i swego ojca, czy już załatwione. Bo to przecież proste niezmiernie – twierdzi burmistrzanka – pokochaliśmy się, i już. Burmistrz już wie, że jego ewentualny protest na nic się nie zda, córkę ma bowiem nad wiek uświadomioną, samodzielnią i asertywną. Jedno tylko mu teraz do tej nowej sytuacji nie pasuje: wszak nie wypada, aby zięć przyszły był jakimś dudkiem, a nie sokołem co najmniej, jeśli już nie orłem. Idą więc do gazet lokalnych kolejne, zmienione nieco instrukcje.

Burmistrzanka wspiera bardzo swego ojca w tej akcji czynienia z narzeczonego ptaka szlachetniejszego, co samemu narzeczonemu niezbyt się podoba: czyżby nie była zakochana w nim samym, tylko w tym, co o nim prasa napisze? Odbywa się pierwsza narzeczeńska kłótnia zakończona pojednawczym pocałunkiem.

A potem już tylko feta i muzyka, iluminacje i gratulacje. Przez ratusz przetacza się tłum radosny i świąteczny, kapelą przygodnie dobraną dyryguje hejnalista Michałko, niedoceniony miejski wynalazca ofiarowuje ruchomego pajacyka przyszłemu potomkowi burmistrzanki i studenta, przychodzi nawet służąca w domu studenta Marysia o pięknych oczach, woźny ratusza odpala fajerwerki, pojawiają się dzbany wina, beczki wina, wystrzały z moździerzy.

Student, naczelny uwodziciel, co tego dnia w naszej mieścinie uwiódł i tłum, i córkę tego tłumy głowy, szepcze cicho, nieśmiało, jakby z nagłą, niespodziewaną wcześniej obawą i wątpliwością: żeby było wesoło, żeby było pięknie...

Koniec. Ale muzyka gra jeszcze.

## **ŻEGLARZ**

Niedawno wróciłem do miasteczka, gdzie się urodziłem. Mała nadmorska miejscina z wielkim, zaniedbanym dzisiaj portem, który w latach mojej młodości przysparzał jej dumy, powitała mnie chłodną, pogodną jesienią. Nie znam tu już nikogo, i nikt nie zna siedemdziesięcioletniego starca, któremu u schyłku życia zachciało się wskrzeszać przeszłość. Wiezorami siadam pod pomnikiem Żeglarza, wielką rzeźbą z piaskowca, pooraną zmarszczkami od słonego, wilgotnego wiatru. Siadam na stopniu cokołu odwrócony do niego plecami i oparty o stabilny kamień myślę o tym, na czym bym się wsparł, gdyby go nie było. A przecież mogłoby nie być tu ani tego kamienia, ani tego żeglarza z piaskowca, ani całego skweru otaczającego monument; i wszystko to zależało wtedy ode mnie, od mojej decyzji, od mojej woli – od fanaberii dwudziestopięciolatka, który posiadał wiedzę niedostępną wówczas innym. Z całego tego zamieszania, jakie powstało wtedy wokół mojej osoby, pamiętam kilka faktów; lubię fakty. Wszak jestem emerytowanym historykiem, więc tylko one mi pozostały.

Żeglarz, uwieczniony dziś na pomniku, od zawsze mnie niepokoił. Skończywszy historyczne studia postanowiłem więc sprawdzić, czy rzeczywiście jest, jak wieść miejska niosła, bohaterem godnym wierszy i piosenek, jakie o nim w knajpie „Pod witrażami” śpiewano. Dość długo jeździłem i pływałem po okolicy bliższej i dalszej szukając śladów legendarnego kapitana Nuta, co to ponoć w młodym wieku podczas morskiej bitwy zginął tragicznie na płonącym posterunku swojego okrętu, z rozwianym włosom złorzęcąc najeżdźcom i kpiąc ze śmierci. Śladów nie było wiele – ale za to były porażające. Kiedy wróciłem do miasteczka ze zbiorem dokumentów i materiałów dotyczących kapitana, zastałem w domu mojej narzeczonej, Med, zjawisko przedziwne; jej brat, rzeźbiarz

z zawodu i zamiłowania, skonstruował w swej pracowni model pomnika kapitana Nuta, a ja, stojąc w jej progu, zdruzgotany długim powrotem, dzierżąc pod pachą potężną tekę z dokumentami, poczułem na sobie zaskoczony nieco spojrzenia członków jakiegoś komitetu, który u brata Med pomnik ten zamówił.

To już nie były ludowe piosneczki; to był pan rektor, pan admirał, miejscy notable – wszyscy ogarnięci ideą uhonorowania kapitana wielkim pomnikiem na centralnym skwerze miasta. Nie pamiętam, kto zaczął, należałoby więc powiedzieć, że zaczęła się dyskusja.

Towarzysze z komitetu zapoznali mnie ze stworzoną przez rektora, wydaną pięknie, oficjalną biografią Nuta. Pokazywali i czytali – a ja protestowałem. Nie mogłem inaczej, bo wszystkie zebrane przeze mnie dokumenty świadczyły przeciwko ich przedwczesnym tezom. Nut nie był potężnym, wyniosłym, dumnym młodzieńcem o orlim nosie, lecz baryłkowatym grubaskiem poruszającym się na krzywych nieco nogach i wyposażonym w nos raczej kartoflany. Nie pijał zdrowotnych herbatek, bo od rana sączył mocniejsze i słabsze alkohole. Nie napisał serii romantycznych listów do wytwornej damy, a pozostał po nim jedyny list do konkubiny, w którym delikatnością i romantycznością raczej się nie wykazał. Wreszcie – co najbardziej poruszyło moich interlokutorów – nie zginął wcale w jakieś bitwie morskiej, lecz uciekł w ratunkowej szlupie z marynarzem Falą z okrętu podpalonego przypadkiem przez pijanego majtka.

Postawiłem kropkę nad „i” moich wywodów zapraszając przed oblicze komitetu owego marynarza Falę, żeby zeznał, jak było. Komitet obrażony wyszedł, a ja nabrałem przekonania, że muszę o swoich odkryciach poinformować miasteczko, zanim wystawi pomnik niedoszłemu „bohaterowi”.

Jakże bardzo chciałem to zrobić! Wyobraźcie sobie świeżo upieczonego historyka, który odkrywa taką prawdę! Owszem, chciałem – ale jak? Jak przekonać tych, co od lat piosenki o Nucie śpiewali przy kielichu i cieszyli się wspólną dla wszystkich sławą naszego ziomka? Walczyły we mnie różne koncepcje dotarcia do szerszych kręgów, do prostej publiczności, ścierały się w mojej głowie przeróż-

ne pomysły. Med, moja narzeczona, usiłowała mnie wspierać, ale wyczułem, że i ona nie jest przekonana do konceptu zdemaskowania Nuta.

Wtedy pojawił się lokalny wydawca, prawdziwy as księgarskiego rynku. Zaproponowałem mu wydanie moich historycznych ustaleń w atrakcyjnej publikacji, więc obiecał rozeznac się, czy jest to możliwe. Rozeznął się i przyszedł narzekając na rosnące ceny papieru, rosnące pensje drukarzy i podobne obiektywne przeciwności losu. Mimo to chciał mi wręczyć zaliczkę i skłonić do podpisania umowy – ale nie zgodziłem się. To nie był wtedy partner dla mnie, młodego gniewnego. Ja mu proponuję prawdę w miejsce powszechnych urojeń – a on mi tu o chłopcach zamiatających drukarnię, którzy domagają się podwyżki. Kiedy ja zrezygnowałem z publikacji – on z kolei nalegał. Widać zwęszył w tym jakiś większy interes, szczególnie w kontekście planowanego odsłonięcia pomnika. Ostatecznie wyrzuciłem go za drzwi z jego buchalterią i kalkulacjami. Prawda miała się bronić sama, a nie poprzez interesy.

Rozważałem jeszcze inne możliwości dotarcia do ogółu ze swoimi odkryciami na temat kapitana – gdy nagle, niespodziewanie, tajemniczo nawet – pojawił się on sam, Nut. Kiedy mnie odwiedził w moim mieszkaniu upstrzonym starymi książkami i wschodnimi makatami, był już starcem. Jeśli prawdą jest, że miał polec na morzu w wieku dwudziestu pięciu lat, a pomnik fundowano na 50. rocznicę tego wydarzenia – zaiste nie był już młody.

Ucieszyłem się oczywiście, że samymi odwiedzinami potwierdził moją główną hipotezę. Ale dał mi też powody do zawodowego zwątpienia. Jak mogłem poświęcić półtora roku na szukanie śladów po Nucie, a jego samego nie znaleźć, a nawet nie ustalić, że jeszcze żyje? Nie to pytanie poraziło mnie jednak najmocniej: oto okazało się, że legendarny kapitan Nut, obecnie Paweł Szmidt, jest moim dziadkiem, a ta nieszczęsna konkubina, której groził w liście obciem, jeśli go zdradzi, to moja babcia. Nie mogłem mieć wątpliwości, że mówi prawdę. Opowiadał historie domowych pamiątek tak, jakby to on je gromadził. Brał w ręce muszle, modele statków, elementy ekwipunku ożywiając je z autentycznym przejęciem i szczer-

ścią. Dziurawe opowieści mojej matki znalazły wreszcie uzupełnienie. Szmidt pragnał, abym prawdy o nim nie ujawniał.

Mimo to nie ustąpiłem. Napięcie domagające się ujawnienia prawdy drgało we mnie jak napięta struna i wydawało mi się, że struna ta wytwarza tony najwyższe, najokazalsze, niewątpliwe.

Nut, a właściwie, na jego własne życzenie – Paweł Szmidt – próbował mnie przekupić. Kiedyś, za młodu, odkrył niewielką wysepkę, nie wpisaną jeszcze na mapy świata. Duże mocarstwo, dowiedziawszy się o jego odkryciu, odkupiło ją od niego, oferując w zamian teren lądowy w mało zaludnionym obszarze. Zgodził się, bo na samotnej wyspie i tak by nic nie zyskał. Meandry historii są jednak nieodgadnione i ten wówczas niemrawy region stał się dziś metropolią, do której gruntów on, Nut, a dziś ja, jego spadkobierca, mamy niezaprzeczalne prawa.

Nie dociekałem wtedy jego motywacji. Dlaczego on, któremu przecież było i tak wszystko jedno, upierał się przy tym, żeby jego poprzednia tożsamość, przeniesiona ze świata legendy do krainy umarłych, nadal legendarnie kwitła? On, racjonalista i materialista, wyzbyty wszelkich złudzeń, mistrz życiowych uników i sprytnych wolt – nagle bronił racji wątpliwych moralnie lokalnych notabli w ich tęsknocie za przekuciem w piaskowiec kilku folklorystycznych piosek.

Nie uległem. Niczego od niego nie chciałem i nic mu nie obiecałem. Zdawało mi się, że wiem, czemu to ma służyć. Być może lepiej wiedziała to Med, mocno wzruszona, kiedy dowiedziała się o całej historii. Zaskoczyła mnie wtedy bardziej chyba niż to, że odnalazłem swojego dziadka. Wyobraźcie sobie radość młodej kobiety z tego, że jej narzeczony odrzuca potężny spadek! No cóż, byliśmy młodzi.

Drobnego przekupstwa próbował też rektor, mój dawny nauczyciel, oferując mi w zamian za milczenie o moich odkryciach posadę w akademii i wyprodukowanie podręcznika dla młodzieży, w którym Nut zyskałby niezасłużony blask autentycznego bohatera. Wyśmiałem jego uzurpacje. Dziś, z dystansu tych wszystkich lat, widzę, że zasłużyłem wówczas na przydomek nieprzekupnego.

Nieprzekupny dobrze się sprzedaje szerokiej publiczności, bez trudu zatem nawiązałem przyjazne kontakty ze studentami naszej akademii. Młodzi zapaleńcy w czarnych beretach postanowili wspomóc mnie w realizacji karkołomnego, ale realistycznego planu. Feta na odsłonięcie pomnika została już oficjalnie ogłoszona, jej program podano tłumowi na plakatach, ustawiono na „skwerze Nuta” morskie i ideowo poprawne ekspozycje. Wiadomo też było, jaki będzie porządek wystąpień na wiecowej trybunie. Moi sprzymierzeńcy w obronie prawdy, studenci, mieli ustawić się tuż przy niej, a kiedy oficjele skończą bałwochwalcze tyrady, umożliwić mi dotarcie do mównicy i publiczne zaprezentowanie mojego zdania odrębnego. Sprezentować miastu taki szok w takiej chwili – to był nasz plan.

Przyszedł wreszcie ten dzień, dzień odsłonięcia pomnika Żeglarsza. Spędziłem sporą jego część w knajpie „Pod witrażami” - u Doktorowej, prężnej karczmarki osieroconej niedawno przez znanego miejskiego lekarza. Z okien przybytku widziało się doskonale skwer z zasłoniętym jeszcze pomnikiem. Nie musiałem nawet podchodzić do okna, bo przyssane do szyb dwie młode kelnerki – Felcia i Iza – na bieżąco zdawały sprawę z rozwoju wydarzeń. Napływały tłumy gapiów, dla których przewidziano boczne sektory. W te centralne wpasowało się niebawem wojsko w przepisowym szyku, policja w białych rękawiczkach i policjanci konfidenci po cywilu, cechy ze sztandarami, uczniowie pod czujnym okiem opiekunów, marynarze w białych mundurach, miejscy radni i reszta elity.

Knajpa jest nieocenionym źródłem wiedzy. Tu właśnie podczas miejskiej fety dowiedziałem się, że marynarz Fala, przekupiony przez komitet budowy pomnika, ma na żywo świadczyć o zmyślonej śmierci Nuta. Tu pojawił się wynajęty kapelmistrz, aby domagać się natychmiastowej zapłaty dla swojego dętego zespołu, ten bowiem odmówił wydawania dźwięków bez wydania mu gotówki. Kiedy kapelmistrz stał na środku restauracji, a groźba przeprowadzenia imprezy w niedopuszczalnej ciszy zawisła realnie nad wszystkimi obecnymi – pierwszy rzuciłem mu kilka banknotów, za mną poszli inni – i w końcu orkiestra zagrała.



Każdy z prominentów zaglądał do Doktorowej, aby odświeżyć gardło surowym jajkiem lub kieliszkiem koniaku przed ważnym wystąpieniem wobec zebranego tłumu. Zajrzał tu też brat Med, rzeźbiarz, któremu wręczyłem kopertę zawierającą zrzeczenie się przeze mnie spadku po Nucie; nie wiedziałem, jak cała impreza się zakończy i wolałem uporządkować po swojej myśli to, na co miałem wpływ.

Pojawił się też „Pod witrażami” sam Paweł Szmidt. Rozmawialiśmy. Nie pamiętam już dziś, o czym, choć może powinienem, bo to było ostatnie spotkanie z moim świeżo odkrytym dziadkiem. Przez uchylone okna docierały strzępy oficjalnych przemówień. Admirał, rektor, przewodniczący komitetu zdzierali sobie gardła ku chwale Żeglarza i lokalnej wspólnoty. Czas mijał, a ja siedziałem w knajpie i było mi tu coraz lepiej, coraz wygodniej.

Wreszcie peany na cześć fałszywego bohatera dobiegły końca. Orkiestra grała ostatni utwór i zaraz po nim miał nadejść czas mojego wystąpienia, które zmieni wszystko, które obróci w proch i pył te nieuprawnione pochwały, ten kabaret fałszu, to nadęte udawanie.

Ktoś szarpnął za właściwy sznurek i zasłona osunęła się z pomnika. Ukazała się rzeźba. Wszyscy wstali. Obok mnie Szmidt zdjął czapkę i patrzył na siebie samego, na siebie kamiennego tak, jakby patrzył na kogoś obcego, ale bliskiego jego sercu; ręce mu drżały. Ścichła orkiestra, ścichły bębny i salwy. Med szepnęła, przejęta: kapitan mój! Bezwiednie powtórzyłem za nią: kapitan mój...

Koledzy studenci upominali mnie, że już czas, że teraz ja miałbym przemówić. Spojrzałem na pomnik i powoli zdjąłem czarny beret. Zaraz po mnie ściągnęli swoje berety towarzysze mojej niedoszłej rebelii. Milczałem.

Nie wiem, czy to od tamtej chwili, czy też z innych powodów – do dziś najbardziej lubię milczeć. Pewnie jest to cnotą, kiedy historyk w swoich sprawach milczy, odzywając się tylko wtedy, kiedy opowiada sprawdzone fakty z życia innych. Ale jestem już tak stary, że prawie obcy samemu sobie. Dlatego pozwalam sobie na tę spowiedź, wsparty plecami o pomnik, którego nie powinno być.



## **EWA**

Znawcy fizyki twierdzą, że wszechświat od momentu Wielkiego Wybuchu rozszerza się nieustannie i proces ten obejmuje w sposób powszechny i równomierny wszystkie jego miejsca w każdym czasie. 'Co bądź' istnieje, oddala się zatem od każdego innego 'cokolwiek' nieuchronnie, wytwarzając coraz większy dystans pomiędzy tymi obiektami.

Człowiek bardzo bogaty, władający rozległym nowoczesnym pałacem (niegdyś dworem), z wykształcenia architekt, z upodobania i tradycji hrabia, z zawodu dobrze prosperujący budowniczy, Sołtanowicz – miałby w tym względzie nieco inny pogląd. Oto bowiem zaiste cały świat widzialny i ten poza zasięgiem naszego wzroku zapewne rozjeżdża się nieustannie, ale w pewnych jego fragmentach zachodzi nieusprawiedliwiona żadną teorią osobliwość – niektóre obiekty nagle w sposób niewyjaśniony koncentrują się, zbliżają się ponadnormatywnie, przecząc schematowi narastającego oddalania i przewidywalnego dystansu. Na przykład ludzie.

Póki co Sołtanowicz prosperuje znakomicie. Utrzymywanie dworu, który jest eleganckim i ekstrawaganckim pałacem funkcjonującym poprawnie w demokratycznym otoczeniu uświadomionej społeczności wsi, to zadanie niezbyt trudne. Wystarczy mieć dostatecznie obfite dochody, dostatecznie dobre maniery, dostatecznie zaprzyjaźnionych lokalnych chłopskich aktywistów i dostatecznie piękną żonę, dopełniającą pełni. Sołtanowicz zawładnął tymi wszystkimi elementami i wszystkie je kontrolował na co dzień budując w spokoju komfort oświeconego arystokraty wśród uświadomionego demokratycznie plebsu. Wybudował ze swych nadmiarów finansowych dom ludowy, szkołę, nowe czworaki – i orzekł, że to było dobre.

Siódmego dnia odpoczął i stwierdził, że przydałby mu się jeszcze kościół.

Widzimy go przez rozległą szybę oddzielającą pałacowy taras od pałacowego salonu, gdy w salonie tym debatuje ze społecznym komitetem budowy nowego kościoła w jego wsi. Za dostojnym, ale nowoczesnym stołem zasiedli reprezentatywni nosiciele demokracji: miejscowy wójt, podstarzały proboszcz, odczytany w broszurach uświadamiających lud młody gospodarz, miejscowy nauczyciel i wszędobylska pani Zejnowska, niezastąpiona orędowniczka społecznej aktywności wszystkich sfer we wszystkich sferach. Komitet zebrał się, aby rozstrzygnąć konkurs na projekt nowej gminnej świątyni.

Projekty wpłynęły dwa. Jeden z nich wygrał już w głosowaniu komitetu. To wizja stworzona przez konserwatywnego architekta Szeffera, promującego „styl narodowy”. Bryła świątyni klasyczna, a wokół parkan z wypustkami ukazującymi na zmianę to krzyżyk, to kogucika. Co do wartości narodowego stylu komitet niemal w całości wykazał wcale nie zadziwiająca zgodność. „Nasz” kościół musi być wszak narodowy, bo po latach niewoli coś nam się, w końcu, należy. Społecznik prawdziwy, członek komitetu, nie może iść w poprzek dziejowej okoliczności narodowej szansy.

To oglądane przez tarasową szybę posiedzenie miało być tylko formalnym potwierdzeniem jedynie słusznego wyboru. Ale pozostało po sobie posiew gorącego niepokoju.

Sołtanowicz – też, jak uczestnicy konkursu, architekt – ale i wizjoner, buntuje się. Nie przeznaczy swoich pieniędzy na kolejną banalną produkcję obrazującą w cegle i kamieniu narodowy banał – proponuje budowę kościoła według projektu drugiego, który w głosowaniu komitetu przepadł. To, według niego, dzieło wyjątkowe, choć nie „ładne”, wizjonerska konstrukcja odnosząca się do absolutu boskiego w sposób właściwy – bo tajemniczy. Uczestnicy spotkania protestują. Wszak głosowali. Po cóż więc było to głosowanie, ta demokratyczna farsa, skoro i tak rządzi ten, co ma na budowę kościoła pieniądze?

Przez rozległą szybę pałacowego salonu słabo widać myśli uczestników sporu. Ale kiedy obrażeni uzurpacją hrabiego i darczyńcy członkowie komitetu opuszczają w podnieceniu demokratycznym jego salon obrazurcy, co postanowił postawić „nowoczesny” kościół dla jakiegoś niechrześcijańskiego boga w ich gminie, granica konfliktu rysuje się dostatecznie wyraźnie, nawet przez zamgloną szybę. Bogaty arystokrata postawił na swoim. Będzie „pięknie”, ale któż to jego piękno zrozumie? Kiedy interlokutorzy Sołtanowicza wsiadają do sań, aby odjechać do domów lub na kolej, wszechświat ponadnormatywnie rozpręża się, oddalając obiekty od siebie bardziej, niż fizyką wielkiego wybuchu przepisane.

Ale nie martwmy się, niebawem nastąpi rekompensata.

Tymczasem oburzeni członkowie komitetu budowy kościoła tkwią w swoich siedzibach, a w pałacu Sołtanowicza jego żona, Ewa, oczekuje niecierpliwie przyjazdu architekta Jaszczolta, którego projekt postanowił jej mąż zrealizować mimo opinii ogółu. Byłoby nieuprawnionym skrótem powiedzieć, że Jaszczolt to człowiek; Jaszczolt – to problem; problem dla wszystkich.

Pech chciał, że wybierając projekt kościoła Sołtanowicz nie miał pojęcia, kto jest jego autorem. Odnalazł go dopiero dając ogłoszenia w licznych gazetach. A teraz żałował, że go odnalazł, okazało się bowiem, iż ów zdolny niezmiernie twórca był kiedyś z Ewą blisko związany co najmniej uczuciem, jeśli nie czymś więcej. W chwili zaskoczenia, oszołomiony odkryciem, zaprosił go jednak Sołtanowicz do siebie szybką depeszą, deklarując, że dzieło jego zostanie wybudowane.

Teraz Sołtanowicz żałuje tego kroku w poprzek powszechnych upodobań. Wyobrażamy sobie, jak bardzo żałuje, wtedy, gdy jego żona zwierza się młodszej siostrze Stefce ze swych tęsknot, których mimo dostępnego jej luksusu i obfitości dóbr mąż zdaje się nie dostrzegać; wyobrażamy sobie, jak żałuje, gdy małżonka wysyła na stację konie po mistrza architektury, dbając o każdy szczegół, a szczególnie o futra, aby dawny ukochany nie zmarzł; jak żałuje, gdy Ewa niemal własnoręcznie sprawdza, czy gościnne łóżko dla Jaszczolta dostatecznie dobrze pościelone; ale szczególnie

wyrazisty jest w swym spóźnionym żalu Sołtanowicz podczas kłótni przez żonę sprowokowanej, podczas której Ewa wytyka mu, iż jest ona tylko dodatkiem do jego pozycji, jego pałacu, jego fortuny, jego przodków na portretach – ale przecież może rzucić to wszystko i iść dalej, dalej...

Pośród tego wewnętrznego żalu Sołtanowicza przyjeżdża do jego pałacu nie sam oczekiwany mistrz, konkurent – ale jego skromny, niski, wschodniej nieco urody, mało atrakcyjny wysłannik, przyjaciel – Łanowski. Jaszczółt we własnej osobie przybyć chwilowo nie mógł, lecz skuszony propozycją wystął kogoś, by nie przegapić pierwszej okazji zobaczenia swego projektu nie na papierze – lecz w naturze.

Domownicy i gość Sołtanowicza układają się do snu, każdy w swym pokoju, każdy ze swymi obawami i lękami, niektórzy z nadziejami, inni tylko z przedsennymi zjawami wokół zmęczonej głowy. A sam Sołtanowicz ciągle żałuje i zadziwia się: przecież jako architekt z wykształcenia doskonale wie, że wszechświat powinien nieustająco i równomiernie rozszerzać się, stwarzając dystans między obiektami coraz większy; a tu nagle taka niespodziewana i nieplanowana bliskość tego przeklętego Jaszczółta; Sołtanowiczowi śni się wielki wybuch odwrócony w czasie – wszystko zbliża się do siebie i niebawem obiekty ulegną nieuchronnym zderzeniom; budzi się spocony i zmęczony.

Kiedy ma się na głowie okazały pałac i utrzymujące go wielkie przedsiębiorstwo, a ponadto żonę, co nagle ozdobą pałacu i firmy mogłaby przestać być – nawet poranne zmęczenie nie usprawiedliwia lenistwa. Bo przecież jak się myśli, to zawsze coś się wymyśli.

I Sołtanowicz wymyśla plan, który ma wszechświat na właściwe tory przywrócić. Łanowski zostaje odesłany do Jaszczółta z informacją, że co prawda hrabia chce bardzo kościół jego zbudować, ale jeszcze gmin musi zdanie swoje wyrazić w powszechnym głosowaniu; przesłanie do konkurenta jest uspakajające, ale nieubłagane w wymowie – Jaszczółt doskonale wie, że plebs jego dzieła nie uzna. Nic Jaszczółtowi nie przyjdzie z tego, że w końcu znalazł czas

na dłuższą podróż i zaraz po wyjeździe Łanowskiego pojawia się u Sołtanowicza. Nie zastaje go w domu, bo wiele się teraz dzieje.

Hrabia zwołuje w trybie pilnym komitet budowy kościoła do księzowskiej plebanii, gdyż proboszcz zachorował i szkoda go wozić do dworu. Stawiają się wszyscy, nieco zaskoczeni takim obrotem spraw, ale czyż planety nie stawiają się codziennie na swoje stanowiska, i skąd wiadomo, czy nie są tym zdziwione? Zebrani na plebanii z satysfakcją słuchają nowej opowieści Sołtanowicza, słuchają hrabiego, co kaja się przed gminem za swój niedawny wybryk arystokratycznej samowoli. Hrabia wydaje się im być szczery, wręcz staje się w tej szczerości spolegliwy. To co, że projekt Jaszczółta lepszy jest według mnie od projektu Szeffera? Wszak ja tam co niedziela nie chodzę, chodzi gmin, chodzi większość. Nawet nie my – komitet – ale ta większość właśnie, wieś cała, powinna głosować. Dlatego wnosi Sołtanowicz ze sobą do plebanii dwie tablice z projektami – jeden na zielonym, drugi na czerwonym tle – i ogłasza, że za chwilę w domu ludowym, podczas zebrania, każdy będzie mógł wrzucić do urny zieloną lub czerwoną kartkę. Niech lud decyduje.

Komitet jest pod wrażeniem; komitet klaszcze i wydaje z siebie wielkie, inteligentne: Och! Oto demokrata, oto pan na dzisiejsze czasy! Zbiorowo, jak na komitet przystało, udają się wszyscy do domu ludowego z czerwoną i zieloną tablicą na przedzie oraz zestawem kartek w takich samych kolorach.

To, co dzieje się potem na plebanii, obserwuje tylko proboszcz. Przechodzi Jaszczółt, nie znalazłszy hrabiego we dworze próbuje u proboszcza. A tu dla Jaszczółta zaskoczenie: zamiast dobroczyńcy Sołtanowicza – jego żona Ewa, co na głosowanie iść nie miała ochoty. Konfuzja. Dziwny dreszcz. Kiedyś przecież coś, dawno, ale trudno zapomnieć, zmienił się on, ona też się zmieniła, jednak, może, znów... Ewa jest wobec Jaszczółta ciepła, przyjazna, pełna nieokreślonej bliżej nadziei na coś..

Jaszczółt jest zaskoczony, ale nie tak, jakby Ewa chciała. Jaszczółtowi wierzyć się nie chce, iż jego niemal już zrealizowane marzenie, jego kościół, staje się właśnie w tej chwili obiektem gminne-

go przetargu, jakiejś prymitywnej demokracji. Wie, że w tej konwencji nie ma szans. Mimo nalegań Ewy, aby poczekał choć na werdykt, prosi o konie na stację. Nic tu po nim. A dawna miłość? Patrzy na nią teraz Jaszczółt przez cienki papier odrzuconego projektu. Jego wszechświat przyspieszył biegu i wszystko zaczyna się nagle oddalać od niego w ponadnormatywnym tempie; architekt czuje, jak bardzo nadzieja podatna jest na rozpraszający impuls Wielkiego Wybuchu, pomimo tego, iż nie jest (ona, nadzieja) obiektem fizycznym.

Wracający z domu ludowego komitet budowy tryumfuje, a na jego czele tryumfuje Sołtanowicz. Kościół będzie w stylu „narodowym”. To nic. Niech będzie i „narodowy”, ale nie będzie to kościół Jaszczółta. Tłum, co ściska rękę hrabiego w podzięcie za szacunek hrabiego dla demokracji, za chwilę ulegnie standardowemu efektowi fizycznemu i zacznie się powoli, skutecznie oddalać. O to przecież chodzi w demokracji; i o to samo chodzi światłemu arystokracie. Tak samo oddalać się będzie Jaszczółt, choć – myśli Sołtanowicz – daj mu Boże jakiś sukces, byle daleko.

A Ewa?

Co Ewa? O co właściwie pytamy – czyż nie wystarczy jej, że stała się tytułową bohaterką dramatu znanego pisarza? Mogło się przecież tak zdarzyć, że dramat ten nazywałby się „Wytworny szachraj”.



## **MOST**

Nad rzeką stał zajazd, wielki, murowany dom przewoźnika, który podróżnych przeprowiał na drugi brzeg, kiedy nie było jeszcze mostu. Łodzi różnej wielkości miał tyle, co pokoi do wynajęcia, gdyby na przeprawę trzeba było poczekać.

Bogaty i dumny ze swego bogactwa i ze swej pracy był przewoźnik, bo i ludziom w podróźnej potrzebie za znanstwem służył, i żył dostatnio z rodziną, czyniąc zadość i swojej, i innych próźności, a czasem może nawet usprawiedliwionej potrzebie.

Była też w pobliżu garstka bezdomnych przybłędów, bez własnego wyboru ubogich i pozbawionych nadziei, co świat stary postanowiła obalić w jego podstawach. Dopóki przewoźnik łączył łodziami brzegi rzeki – garstka wywrotowców niewiele tu miała do powiedzenia – i do roboty.

Kiedy wreszcie wybudowano most – pojawiła się podstawa niesprawiedliwego świata godna obalenia. Ulotki o koniecznej destrukcji opresyjnego systemu świsłały na wietrze wokół mostu. Wokół tego samego mostu krążył posepny, nienawistny wzrok pozbawionego pracy i dostatku przewoźnika.

Komu ulegną zacne podpory postępu? Kto zdewastuje skutecznie mit mostu, co łączy świat niesprawiedliwy na lewym i prawym brzegu? Kim posłuży się nieubłagany los, aby obwieścić swoją metafizyczną klęskę?

Na razie most tkwi pewnie nad grudniowymi wodami spokojnej rzeki a Tomasz, architekt, w stworzonej naprędce pracowni rysuje plany wielkiego gmachu. Pracownia jest w domu ojca Tomasza – owego nieszczęsnego byłego przewoźnika, architekt bowiem opuścił miejską siedzibę, żeby wesprzeć starego ojca w ciężkiej chorobie. Samotny dom nad rzeką nie jest najwygodniejszy i trzeba pogo-

dzić się z brakiem elektrycznego światła, ale Tomasz nie wyobraża sobie, żeby opuścić ojca w chorobie, więc pracuje u niego.

Rozrywek tu brak. Może i dobrze – praca nad projektem idzie sprawnie. Czasem tylko młody Janek, niepełnosprawny przybłąda, dyskutuje z Tomaszem o tym, czym jest praca. Według Janka oranie pola, stawianie domu z drewna lub cegieł, przewożenie ludzi łodzią czy promem – to praca prawdziwa; to, co robi Tomasz: skrobanie ołówkami po wielkim papierze – pracą na pewno nie jest. Całymi dniami tak się przyjaźnie nie dogadują.

Oprócz przybłądy Janka, Tomasza i jego ojca w domu jest też Marysia, siostra Tomasza. Cicha i zgodna, opuszczona przez matkę, która od przewoźnika odeszła, kiedy jego interes upadł po wybudowaniu mostu. Mówią, że poszła do takiego, co na moście nagle się wzbogacił, ale córkę zostawiła ojcu.

Tomasz rysuje swoje magiczne kreski pod czujnym okiem Janka wężącego w tym rysowaniu co najwyżej zabawę – gdy nagle pukanie do drzwi obwieszcza rzadko spotykanego tu gościa. Wchodzi Helena i jej szofer.

Helena jest narzeczoną Tomasza. Zaniepokojona brakiem wiadomości od niego wyprawia się samochodem swojego bogatego niezwykle ojca w podróż do samotni ukochanego. Stęskniła się. Studiuje architekturę i z synem przewoźnika łączy ją zarówno gorący (z jej strony) afekt – jak i wspólne zawodowe zainteresowania.

Kiedy przyjeżdża Helena – leje deszcz – grudniowy, zimny, dotkliwy. Mróz się zbliża. Nie tylko w przyrodzie. Tomasz nie wita narzeczonej wylewnie i gorąco, jakby tego oczekiwała. Ma swój napięty plan – rysuje projekt gmachu na konkurs ogłoszony przez Ligę Przyjaciół Człowieka. Musi ten projekt wysłać za trzy dni, a pracy przy nim jeszcze dużo. Poza tym siedziba jego rodziny, opuszczony przez podróżnych zajazd, choć murowany i porządny, daleki jest od świetności i nie posiada takich wygód, jakich Helena, córka dobrze prosperującego burżuazji, oczekiwać by mogła. Mimo chłodu powitania Helena odsyła samochód i szofera i bada narzeczonego oraz jego rodzinne historie. Dowiaduje się o niegdysiejszym bogactwie przewoźnika i o jego upadku na skutek wybudowania mostu, o małżeń-

skiej klęsce ojca Tomasza, o jego zapalczywej nienawiści do łączącej brzegi rzeki budowli, o życiu niewesołym i nudnym, wpatrzonym przez weneckie okno niegdyś świętego zajazdu w mętne wody zimowej rzeki.

Te smętne rozważania narzeczonych przerywa zrozpaczona Marysia: ojciec zniknął. Dopiero co wyleczony wyszedł z domu, a może nawet wypłynął na rzekę, brak bowiem w domu jego ulubionego wiosła i jednej łódki. Mogłyby ruszyć poszukiwania – ale nie ruszają, bo nikt nie wie, gdzie szukać. Panika i przerażenie.

Nagle ojciec wraca. Jak zwykle ostatnio małomówny i tajemniczy oświadcza tylko, że „był, gdzie był” i że nie ma nic przeciw temu, aby Helena nocowała w jednym z pokoi nieczynnego już zajazdu.

Mija noc, poranek dnia następnego, znów wieczór i jeszcze dwie noce – a rzeka już nie płynie, lecz wierzga krą i pianą, złapał bowiem zapowiadany, siarczysty mróz. Helena pakuje do wysyłki projekt gmachu Ligi Przyjaciół Człowieka sporządzony przez Tomasza, czas bowiem wysłać pracę na konkurs. Dziś mija termin i dziś poczta, położona za rzeką, musi przybić na przesyłce swój stempel.

Na te pospieszne zaklejanie papierów i zakładanie butów na drogę przez most do poczty wpada do izby Janek i krzyczy: Most zerwało! To koniec. Terminu konkursu nikt nie przesunie, a innej poczty w zasięgu marszu nie ma. Tomasz i Helena stoją zamrożeni niespodziewanym wierzgnięciem losu. Konsternacja – to mało powiedziane; to niemal tragedia.

I nagle, z najmniej spodziewanej strony, przychodzi odsiecz. Ojciec Tomasza poleca Jankowi i Marysi: szykujcie mi kozuch, nową czapkę, wyczyśćcie buty, małą łódkę wynieście na brzeg; przewiozę tę przesyłkę na pocztę, nawet bez mostu.

Ojciec Tomasza jest, jak zawsze, apodyktyczny, to on tu rządzi, więc to on podejmuje ryzyko i nikt go nie przekona, żeby postąpił inaczej. Jeśli ktoś ma szanse stawić czoła żywiołowi – to właśnie on. Wszyscy protestują – przewoźnik płynie.

Piękna to scena, kiedy widzimy plecy obserwujących przeprawę starca pomiędzy krami spienionej wody i słuchamy ich bojaźliwych

komentarzy: odbija od brzegu, cofa się, napiera, przedziera między wezbranymi przeciwnościami wody, grzęźnie uwikłany w lodowe bryły, wychodzi z opresji, prąd bystry go znosi, niby ulega – ale pracuje śmiało wiosłem, przedziera się, wychodzi na drugi brzeg.

Zwycięstwo. Ojciec Tomasza żyje a paczka z projektem o czasie pojawi się na poczcie.

Przewoźnik na drugim brzegu, maszerując z plikiem papieru pod pachą do pocztowego okienka nie wie nawet, jakich problemów narobił tą swoją wyprawą tym, co zostali w jego domu. Tomasz jest z siebie nadzwyczaj niezadowolony. Przecież starzec otarł się o śmierć w lodowatej wodzie pomiędzy napierającymi kawałami lodu. Nie powinien go wypuścić z domu, łódkę powinien porąbać, wiosło połamać – a ojca uchronić. Zawiódł. Poddał się nastrojowi konkursu, co niby ma swój termin i swoje wymogi, ale dbałości o życie ojca uchybił.

Helena ma inne zdanie. Przecież starzec sam rwał się do boju z naprężoną rzeką, sam napierał na zwadę z wodą, na wyzywanie losu. Nikt go nie prosił – po prostu zrobił to, co za słuszne uważał. I miał rację. Wszak jego syn może zasłynąć jako twórca gmachu Ligi Przyjaciół Człowieka! Czyż to nie usprawiedliwia każdego ryzyka, każdej nierozważności? Tomasz widzi już na ścianie zaprojektowanego przez siebie gmachu cień jadącego w łodzi przewoźnika. I nigdy nie pozbędzie się wątpliwości: czy było warto?

Mija noc, a o poranku wszyscy domownicy dostrzegają nieobecność ojca Tomasza. Starzec przepłynął brawurowo przez rzekę, dostarczył zapewne przesyłkę na pocztę, ale co z nim teraz? Po jakich drogach błąka się opuszczony przez uwagę gapiów, których rodzina obserwująca przeprawę widziała na przeciwległym brzegu, licznie zgromadzonych? Rusza ratunkowa wyprawa, Tomasz poszukuje po wsiach sąsiednich koni, Janek doradza, gdzie szukać przewoźnika i przez jaki najbliższy most mógłby się na swój domowy brzeg przedostać. Wszyscy wychodzą na poszukiwania – zostaje samotna Helena.

Los jednak – nawet w tak odosobnionym od uroków cywilizacji miejscu, jak upadająca siedziba byłego przewoźnika – nie znosi

próżni. Osamotnioną nagle Helenę odwiedza tajemniczy Gość. Z początku wydaje się, że to pospolicity domokrażca sprzedający żyłki do golenia, co mają w przyszłości zastąpić dobrze sprawdzone na wsiach i w miasteczkach brzytwy. Ale wkrótce okazuje się, że to nie obnośny sprzedawca nowinek – lecz agent policji. Upadek mostu bowiem nastąpił nie na skutek nieszczęśliwego przypadku, chwilowego naporu kry czy zbyt szybkiego nurtu grudniowej wody. Most upadł, bo ktoś podpłiwał jego filary, i to podpłiwał nie pospiesznie, banalnie, byle jak – ale podpłiwał ze znanstwem. Przewidując napór lodowych odłamków podciął słupy chroniące most przed niebezpieczeństwem. Działał nie tylko destrukcyjnie – ale świadomie.

Helena słucha opowieści policyjnego agenta i coraz szerzej otwierają się jej oczy, oczy córki bogatego przedsiębiorcy, która świat swój postrzegała dotychczas jako jedyny istotny – a tu nagle konfuzja! Są i inne światy, co do zniszczenia jej uniwersum prą usilnie i z rozmachem, zapuszczając się nawet w takie odludzia, gdzie nowy most jest godnym pamięci pokoleń wyczynem.

Agent policji należy to tego rodzaju agentów, którzy powierzchownym wnioskom zawsze mówią: nie. Co prawda siedzą już w areszcie jacyś podejrzeni młodzieńcy, wcześniej przyłapywani wielokrotnie z wrogimi wobec obecnego ustroju i obecnej kultury ulotkami, w których namawiali do niszczenia wszystkiego, co świat ten tworzy, ale agent nie uwierzył w ich winę. Rzeczywiście – gdyby mogli, zwaliliby ten most. Ale na pewno nie uczyniliby tego tak fachowo i z takim znanstwem rzeki i jej praw. Można było oczywiście poprzestać na wstępnych ustaleniach śledztwa i sprawę zamknąć, ale nos i serce agenta kazały mu drążyć dalej. Drążył więc.

Odkrył postać i historię zubożałego, nienawidzącego mostu przewoźnika. Zdobył informacje o jego profesjonalnej wiedzy o rzece i jej prawach. Obejrzał uszkodzenia zwanego mostu. I orzekł w swoim sumieniu: to on. Nie działały tu rewolucyjne demony zaklęte w młodych, spaczonych duszach. Tu działał przemysłny starzec.

Helena mruga coraz szerzej otwierającymi się oczami. Most – projekt – Liga Przyjaciół Człowieka – rewolucja – nienawiść, starość, młodzieńcze ideały – wszystko miesza jej się w głowie. Jesz-

cze pragnie uchronić przyszłego teścia przed sądową odpowiedzialnością za nieczy czyn. Jeszcze próbuje przekupić policyjnego agenta kosztownymi pierścionkami. Jeszcze ma nadzieję, że agent zaoferuje jej uniewinnienie przyszłego teścia – ale policjant jest nieczuły na emocje, jego interesują fakty. On ma je przedstawić w toczącym się śledztwie – od emocji jest sąd.

Formalistyczna prawość agenta nie podlega negocjacom. Można z nim negocjować tylko formę aresztowania. Helena i agent ustalają, że domownicy byłego zajazdu będą mogli, po odnalezieniu ojca Tomasza, nacieszyć się chwilę swoją obecnością. Tak się też staje.

Kiedy ekipa poszukiwawcza sprowadza starca do domu, agent usuwa się w cień, ale niebawem wróci; Helena nie wyjawia jego obecności ani jego roli.

Tymczasem przewoźnik prorokuje swojemu synowi dobrą przyszłość, bo zaczął wybrać sobie kobietę. Stary, zmęczony człowiek jest pod wrażeniem konsekwencji i uporu młodej damy, którą jego syn upatrzył sobie na żonę. To ona przecież kazała mu wypłynąć na rzekę i spierać się wiosłem ze śmiercią, ona obstawała za tym, że Tomasz musi konkurs wygrać, bo jest tego wart. Przewoźnik dostrzega w nowej epoce, w człowieku nowej epoki, w kobiecie nowej epoki – swoje własne odbicie; co prawda jest to, jak na nadrzecznego starca przystało, odbicie chybotliwe, bo wodne – ale wydaje się na nadchodzące czasy trwałe i skuteczne. Życie nowe od życia starego może nie będzie różniło się aż tak bardzo. Będą oczywiście wygrani i przegrani, będą źli i dobrzy, będą nawet bardzo źli i bardzo dobrzy. Niewiele się jednak zmieni.

A co na to ta garstka bezdomnych nieszczęśników, którzy niebawem, dzięki docieklivości policyjnego agenta, opuszczą areszt, uniewinnieni od zarzutu zburzenia mostu? Ulegną pokusie asymilacji z niesprawiedliwym światem, skoro od wyroku ich wybawiono – czy zbadawszy akta sądowe swojej wygranej sprawy ruszą w dal podcinając najczulsze podpory na innych mostach?

## SLUŻBISTA

Jest 16 grudnia 1937 roku. Późny wieczór. Radio obudowane ciemnym drewnem niemal widocznie drży od wydawanych z siebie dźwięków. Teraz to jakaś banalna piosenka Ordonki lub Bodo, ale przed chwilą wyciekały z ramy radia słowa. Nowa jednostka przekazywania kulturowych treści: słuchowisko.

Skończyło się słuchowisko. Głowa słuchacza chyli się do snu, bo już późno. Poduszka jest blisko. Noc jest tuż. Sen nadchodzi powoli. Ale jeszcze w głowie tli się zasłyszana treść, nie wiedzieć czemu warta przypomnienia. Czasem tak bywa: ktoś chciałby zapamiętać to, co przed chwilą usłyszał, więc powtarza sobie w głowie przed snem treść zasłyszanych komunikatów.

Służbista – tytuł. Warto zapamiętać, tym bardziej, że to tekst Szaniawskiego. Wszak Szaniawski nie byle kto, słuchacz zna go z teatralnych inscenizacji, bo to postać zacna i ciekawa. Więc jeszcze chwila przed snem dla Szaniawskiego. Jak to było? Jak to się zaczęło?

A no tak: przychodzi pan Zadura do znajomego pułkownika i prosi o posadę. Pamiętajmy, jest rok 1937 i o posadę nie łatwo. Późna sanacja zipie ostatnim oddechem. Zadura to postać tragiczna. U progu II RP odziedziczył po ojcu zadłużony majątek, ale że był z wykształcenia filozofem, a nie rolnikiem, majątek upadł i został sprzedany. Resztki fortuny rodzinnej stracone lub skonsumowane. Widmo bezrobocia – bo nasz Zadura już starszawy, ma czterdzieści pięć lat, takiego nikt na posadę czy stanowisko nie weźmie. Opatrzność jednak czuwa nad Zadurą: przypadkiem spotyka na ulicy starego znajomego ze studiów, pułkownika. Prawdziwego, czynnego, osadzonego w strukturach sanacyjnego pułkownika. Tenże pułkownik wysłuchuje opowieści byłego kolegi z uczelni i zaprasza go do

siebie za kilka dni. Zadura przychodzi do pułkownika i otrzymuje propozycję posady.

Posada, czy stanowisko, jest dziwne. Gdzieś na wschodzie, wśród wód, łąk i lasów, sanacyjna armia ukryła sprytnie zamaskowane wojskowe instalacje. Sieć kanałów i wodnych przesmyków przyciąga tam roje kajakarzy, podziwiających przyrodę. Nic w tym złego – niech sobie podziwiają. Ale uważać trzeba. Zamaskowane wojskowe urządzenia nie mogą zostać bez nadzoru. Zatem trzeba słuźbisty, kontrolera, nadzorcy – co o bezpieczeństwo tych urządzeń będzie dbał, patrząc, kto kajakiem płynie i czy złych intencji nie ma.

To wszystko trudne. Oficjalnie jest się na tej posadzie „starszym dozorcą” kanału – w praktyce – służy się w kontrwywiadzie. Maskowanie zalecane i konieczne – dozorca ma być dla oka swój chłop, żaden inteligent, nie wzbudzać u ludności miejscowej podejrzeń, jak i u turystów. Siedzi sobie chłop prosty na posadzie i kanału pilnuje – a tu ukradkiem na wojskowe instalacje baczny uważnie i ludzi przybywających przeświewa, czy nie szpiedzy jacy, co obronność podważą niechcianą wiedzą.

Nie można tu mieć żony, ambitnej biblioteki ani prenumeraty zbyt mądrych czasopism. Trzeba trwać i czuwać, nie zdradzając się z czuwaniem. To wszystko. W zamian gaża od rządu wypłacana sprytnie gotówką, nie przez lokalną pocztę, aby jej nie ujawnić, duża, lecz nieprzydatna w praktyce. Ale zawsze pewna stabilność. Zadura rozważa. Pułkownik czeka. Zadura zgadza się.

I oto już Zadura nad wodą, w nowej pracy, dni zaledwie kilka, a tu nagłe wyzwanie. Kajak płynie sam, a kajakarka w nim śpi, rozleniwiona słońcem. Środek lata, gorąco. Panna śliczna jak malowanie, więc Zadura krzyczy, aby zbudziła się, bo niedaleko śluza. Panna coś majaczy, nieprzytomna prawie, Zadura z wody ją wyciąga i wypytuje. Zemdląta, bo nogę skręciła. Chodzić nie może. Cóż, siła wyższa. Na jedną noc u siebie w stróżówce wojskowej przyjąć gościa awaryjnie może. Przyjmuje.

Panna ma na imię Hania. Podoba jej się tu. I Zadura taki opiekuńczy, szarmancki, oczytany, świadomy, zupełnie nie jak dozorca



kanatów. Posada nędzna – ale człowiek ciekawy. Panna, mimo ozdrowienia z kontuzji nogi – wyjeżdżać nie chce. Zadura do wyjazdu namawia – nie chce łamać procedur. Bo jak się komu tu podoba, w pobliżu są stacje wodne dla turystów, i stamtąd podziwiać można wód i łąk oraz lasów pogranicze. Tu przebywać nie można, więc Hania musi odejść.

Pokornie odchodzi, ale zakochuje się w swoim przypadkowym opiekunie znad wodnego szlaku. Po trzech miesiącach wraca, stawiając sprawę prosto i jasno: przyjechałam, by wyznać ci miłość. Chcę być z tobą tu, na tym kajakowym szlaku, w tej ciszy i spokoju, chcę być twoją żoną. Hania mówi – Zadura słucha. Słucha i nie reaguje. Przecież nie wolno mu tu mieć żony, bo instalacji tajnych pilnuje tajnie, a żona to ciężar zwiastujący kłopoty. Cóż, stało się, co miało się stać: żegnaj, Haniu, razem nie będziemy, żaden ze mnie zakonnik czy pedał, ale ci nie ulegnę. Wiem, że mnie może i naprawdę kochasz, ale co z tego? Moja rola tu nie do miłości, lecz do pilnowania wyłącznie stworzona. Panna smutna i skonsternowana odmową odchodzi. Zadura tęskni, ale ogarnia się w samotności i – żyje dalej. Służbista. Treść życia i życia istota.

Donosi oczywiście pułkownikowi o tym incydencie.

Głowa przy poduszce przepowiedziała sobie przed snem treść wysłuchaną. Piękna rzecz – takie słuchowisko, mały teatrzyk. Jest o czym przed snem pomyśleć; przy poduszce w głowie ułożyć mały światek przed kogoś opowiedziany. Cisza. Sen. Rok 1937.

Dwadzieścia lat później ten sam pokój w małej willi na obrzeżach Warszawy i ten sam człowiek przed snem, w roku 1957, już emeryt, układa się do snu. Przy głowie radio to samo, co przed lat dwudziestoma. Jakiś dźwięk, jakiś impuls sekretny przywodzi usypiającej głowie na myśl dawne słuchowisko. Służbista. Taki był tytuł. A autor – to Szaniawski. Pięknie! Przecież słuchacz odwiedził niedawno Szaniawskiego w jego upadającej rezydencji w Zegrzynku. Smutne to wszystko. Upadamy. Ruiny zarządzają naszym światem. Nie ma nawet ciekawych słuchowisk. A tamto słuchowisko? Słuchacz pamięta – przypomina sobie. Pułkownik, Zadura i Hania. Za-

danie tajne i porzucenie miłości. Dozorca kanału na życzenie kontrwywiadu. Świat trudny jest i skomplikowany.

A gdyby było inaczej? Między nędznym teraz a przyjaznym przedtem była wszak wielka wojna, druga wielka wojna. Słuchacz pamięta też pierwszą, a nawet taką małą, gdzie w Łodzi bił się z carskimi siepaczami o robotniczą sprawę w 1905.

Gdyby było inaczej? Wyjdźmy z Szaniawskiego poza Szaniawskiego – myśli podwarszawski emeryt, słuchacz radia. Na pięć minut przed zaśnięciem wolno nam wszystko, nawet budować nowe światy.

Starszy człowiek układa głowę na poduszce, ale jeszcze raz przed snem otwiera, czy tylko uchyla oczy. Widzi niewyraźnie ramę skrzynki radiowej, ciemną, drewnianą. Drewniany świat. Zmartwiłe drewno świata. I ten nieszczęsny Zadura, jakby posklejany z tragicznych kawałków, z tragicznych dźwięków. Jak się to słuchowisko wtedy skończyło? Stał Zadura na skraju traktu i szeptał imię zakochanej w nim kobiety, którą odrzucił.

Czy to się może tak skończyć? Czy mamy prawo pozostawić tragicznego bohatera w stanie klęski kompletnej, w stanie zaprzeczenia samemu sobie? Na jak długo?

W głowie emeryta wpatrzonego w skrzynkę radia pulsują pytania przedsenne i wykluwa się z nich koncept: to nie może tak być. Musi być dalszy ciąg. Zadura nie może zostać tak haniebnie opuszczony na zawsze. On jeszcze ożyje, jego los jeszcze się dopełni. Pięć minut przed zaśnięciem rodzą się takie myśli – niepokorne nawet wobec autorytetu zacnego pisarza.

Zadura przeżył wojnę. To pewne. Tacy tragiczni w tragicznych czasach mają nad sobą jakąś dziwną opiekę opatrności. Gdzie jest teraz? To musi być miejsce, gdzie spotka innych bohaterów słuchowiska, miejsce otwarte na dziwne i niespodziewane spotkania. Jest. Warszawa kilka lat po wojnie i knajpa gdzieś na pograniczu Powiśla i Czerniakowa. Rewir Grzesiuka. Pamiętamy te knajpy – prząsne, ale ze swym stylem, z honorem wypisanym na ścianach i stołach śladami bójek.

Przy stoliku siedzi Zadura i pije wódkę. Sam. Nie znalazł sobie po wojnie miejsca na świecie i wśród ludzi, tak jak i przed wojną sam go sobie nie znalazł. Obok szklaneczki śledź i kawałek chleba, obok krzesła Zadury samotność. Patrzy drętwo i obojętnie w przestrzeń uwikłaną w dym i głośne rozmowy.

Nagle ożywia się. Ktoś wszedł. Znajomy. Zadura rozpoznaje w postaci swego dawnego dobroczyńcę, pułkownika. Jest ten pułkownik w eleganckim mundurze. Zadura woła: panie pułkowniku! Nic. Powtarza zawołanie, ale postać zostaje obojętna. Dopiera kiedy wraca od baru z wódką i zakąską do jedyne go pustego stolika, Zadura zastępuje mu drogę i mówi z wyrzutem: Nie poznajesz?

Pułkownik gani Zadurę za niewczesne okrzyki. Nie jest teraz pułkownikiem, tylko porucznikiem. Jak to możliwe? Po wojnie wszystko jest możliwe. Zmieniła się armia, a właściwie zmieniły się mundurowe służby, więc on teraz wrócił do niższego stopnia, i nie w armii, ale w bezpieczeństwie. UB dało mu dobrą szansę. Pewnie, że nie przyznał się do sanacyjnej kariery. Pułkownika piłsudczyka na pewno by nie przyjęli. A tu mus życiowy: żona umarła w wojnę, ma syna, trzeba się jakoś utrzymać, z czegoś żyć. Posada. Rzecz niezbędna.

Zadura zazdrości. Nie ma posady, handluje czym popadnie i gdzie popadnie. Mieszka w ruinach, w kniejach rozwalonego miasta, które powoli rusza ku cywilizacji, ale Zadury to nie cieszy. Nie martwi też. Kres jest bliski. Czuje to i cieszy się każdym dniem, albo raczej każdy dzień przyjmuje jako dar.

Wódka przy kotlecie rozwiązuje języki. Wspominają. Zadura wspomina Hanię, o której (kiedyś) pułkownikowi jeszcze przed wojną opowiadał, (teraz) porucznik chwali się, że z Hanią właśnie pracuje w urzędzie.

Obaj piją dużo, więc zdziwienia i zaskoczenia obrotami losu są mniejsze, nieproporcjonalne do wagi faktów i wyobrażeń. Porucznik opowiada Zadurze drugą historię Hani, owej nieszczęśliwie zakochanej turystki.

Poznał ją w swojej jednostce UB; jest tu protokolantką. Przypadek albo los zrządził, że w kantine jedli posiłki przy wspólnym stole. Z nudów czy z innych przyczyn rozmawiali. Były pułkownik nie ujawnił współpracownicze nowych służb swojej osobistej historii. Ale ona mówiła dużo.

Od młodych lat sympatyzowała z komunistami, może nawet z samym komunizmem. A że ten był nie u nas, a u wschodnich sąsiadów, wkrótce została agentką obcych służb działającą wewnątrz kraju. Dostawała różne zadania. W lecie 1937 polecono jej zbadać podejrzany teren turystyczny wokół jakichś jezior, lasów, pól. Wybrała przebranie kajakarki, ale niesprawna w tym zajęciu, wchodząc do kajaka skręciła nogę. Wyłowił ją Zadura.

Dalszy ciąg znamy ze słuchowiska.

Zadura nalał sobie dużo wódki. Porucznik mniej. Wypili równo, jak na komendę.

Poduszka. Obaj klienci knajpy na Powiślu albo Czerniakowie pomyśleli o poduszce. Czasem pije się tylko po to, aby paść na poduszkę i nie myśleć.

Tak sobie myśli starszy człowiek w podwarszawskiej zrujnowanej wili, na pięć minut przed zaśnięciem. Zadura. Bohater słuchowiska. Nieustannie przegrany na wszystkie strony. Szkoda go. Szkoda tego wszystkiego... To już tylko półsensne majaczenie. Niebawem sen właściwy przyjdzie.



## MURZYN

W miasteczku jest szkoła i jest sklep. Miasteczko jest na polskiej prowincji, patrzymy na nie niedługo przed wybuchem pierwszej Wielkiej Wojny.

Szkoła to nowoczesna żeńska pensja pani Ady, wchłaniająca z upodobaniem modernistyczne mody wychowawcze epoki; przez przeszklone drzwi i ścianę gabinetu dyrektorki, urządzonego skromnie, lecz gustownie, widzimy rozległy uczniowski korytarz, nie ma tu bowiem miejsca na tajemnice i knowania ukryte po kątach. Wszystkie kąty są proste i otwarte ku przyszłości.

Sklep jest zabawkarsko-galanteryjny i niezwykle kolorowy, a jego szef, stary wiarus i były komiwojażer Fenicki dba o to, aby nie zabrakło tu najlepszych szkolnych przyborów i najciekawszych zabawkarskich nowości.

Szkoła wysyła do sklepu pensjonarki, sklep wysyła do szkoły stałówki, kałamarze, atramenty, tusze, kolorowe bibułki, białe papiery i liniowane kajety, arabską gumę, chińskie lampiony, świąteczne konfetti i rysunkowy węgiel. Wymiana jest ekwiwalentna.

I pewnie trwałaby ta wymiana pensjonarskich pieniędzy na sklepowe skarby po kres czasu, gdyby w tym czasie i w tym sklepie nie pojawił się On – niepozorny, cichy, zagubiony – ale jednak: Murzyn.

Młodego Murzyna widywano w sklepie od dawna i pomimo egzotycznej cery nie budził w nikim poważniejszych emocji; skoro wziął go na subiekta znany ze spokoju i odpowiedzialności kupiec Fenicki, nie mógł to być zły młodzieniec. Ale pewnego dnia czerń skóry sklepowego subiekta rozlała się szeroką plamą na sterylnych i postępowych podłogach nowoczesnej pensji pani Ady.

Pierwszą plamą czerni ochlapuje gabinet dyrektorki woźny Wojciech, skarżąc się szefowej na dziwne obyczaje wnuczki Mani,

uczennicy pensji. Ta bowiem ostatnio zamazuje całe strony kaje-  
tów czarnym atramentem, bez żadnego racjonalnego uzasadnienia.

Większą plamę czerni zostawia w gabinecie Ady dziadek uczeni-  
nicy Lusi, starszy, elegancki i postępowy modernista Kukliński. Nie  
szczędząc pochwał szkolnym przestrzeniom rysuje przed  
dyrektorką swój ważny problem. Oto wnuczka jego od kilku dni  
wspomina przez sen jakiegoś Murzyna; albo domagając się, aby  
ten Murzyn z nią tańczył przez całe życie, albo odmieniając przez  
przypadki (poprawnie oczywiście) wyrażenie „mój Murzyn”.

Zaniepokojona informacjami od dziadka Lusi wzywa ją Ada na  
dywanik i wypytuje. Dowiedziawszy się tylko tyle, że Lusia snów nie  
miewa, wzywa na ów przyjazny dywanik kolejne uczennice.  
Te zgrabnie unikają narzucenia im niechcianego tematu – Murzyn  
według ich relacji nie istnieje, nie śni się, nie jest malowany na ka-  
jetowych kartkach.

W sukurs usiłowaniami dyrektorki przychodzi jej najbliższa współ-  
pracowniczka – Rabska. To kobieta oschła nieco i – chciałoby się  
rzec – bezpłciowa, ale postępowi w nowoczesnej pedagogice  
oddana bez reszty. Dzięki jej śmiałości w ręce dyrekcji trafia zeszyt  
rysunkowy jednej ze starszych uczennic, Heli; Hela z upodobaniem  
i talentem maluje akty; pechowo w ręce Rabskiej trafiają akty  
ukazujące Murzyna.

Pensjonarki, które w tajemnicy odwiedzają sklep Fenickiego, już  
wiedzą. Widzimy je przez szybę dyrektorskiego gabinetu jak nara-  
dzają się na korytarzu podejrzewając, że oni wszyscy już wiedzą,  
wiedzą o naszym Murzynie!

Zgadza się: wiedzą. Chociaż nie wszyscy. Na razie wie Ada i wie  
jej zauszniczka Rybska. Nie chcą jednak zostać same z tą porażają-  
cą świadomością, bo nitka łącząca szkołę ze sklepem Fenickiego  
staje się zbyt jawna, zbyt oczywista, aby ją w pedagogicznym postę-  
powaniu pominąć; tym bardziej, że to czarna nitka.

Dyrektorka Ada zwołuje w trybie natychmiastowym „pedagogicz-  
ne ciało” w postaci nauczycieli obecnych dziś w szkole. Stawiają się  
na wezwanie szefowej nauczyciel Leleski, nauczyciel Hołubka, na-

uczyciel Niezabudko i nauczyciel Kaczeński. Nadzwyczajna rada pedagogiczna wypada nieco karykaturalnie. Nauczyciel Leleski umówił się właśnie z drogą jego sercu kobietą i pragnie stanowczo wyjść z zebrania choćby natychmiast. Nauczyciel Kaczeński wykazuje się przewidzianą na tę okazję elokwencją, opowiadając zebrany o niuansach emocjonalnych pułapek, w jakie wpadają pensjonarki, kiedy „Murzyn staje się modny”. Nie chce jednak ingerować w faktograficzny materiał, jaki mógłby zebrać, gdyby relacje między pensjonarkami i subjektem Fenickiego rozwijały się bez zaburzeń. Kiedy głosi, że popsułby sobie taką ingerencją ciekawe studia, Ada patrzy na niego z dezaprobatą: nieszczęsny domorosły psycholog.

Nauczyciel Niezabudko jest szafarzem tolerancji: jego zdaniem nie wypada wtrącać się do cudzego serca. No i cóż, że Murzyn? No i cóż, że może podkochują się w nim tymczasowo nastoletnie dziewczęta? Natura wszystko ureguje.

Nauczyciel Hołubka również ceni naturę – głównie naturę swego pokarmowego układu. W trakcie zebrania staje się wściekle głodny i walczy o skrócenie spotkania ze względu na ten doskwierający mu boleśnie stan.

Dyrektor Ada i jej cień Rybska wychodzą z siebie, aby panów nauczycieli do aktywności pobudzić, ale projekty akcji „zwalczania fascynacji Murzynem” pozostają jakieś mgliste: poranne zimne kąpiele dla pensjonarek, okłady z chłodnych prześcieradeł, cykl pobudzających umysł wykładów z dziedzin różnych i wszelakich. Rybska mimo to podsumowuje spotkanie żwawym hasłem: „Na Murzyna!”.

Kiedy Rybska to mówi, nitka łącząca szkołę ze sklepem zaczyna się prostować, skracając dystans pomiędzy tymi miejscami, likwidując meandry łuków i domysły zawijasów. Nitka napina się niespiesznie i powoli, ale to czas nitki; w czasie ludzkim dzień po dniu następuje szybko i nitce niebawem zabraknie sił do reprezentowania tonu wydarzeń.

Kiedy następnego dnia wieczorem Fenicki siedzi na taborecie za kontuarem w swoim sklepie, a jego czarnoskóry subiekt Jim leży na podłodze przeglądając leniwie album ze zdjęciami z Afryki – nitka łącząca sklep ze szkołą rozprostowuje się, ale nie jest jeszcze na-



pięta. Panowie w sklepie gawędzą sobie z nudów o niczym, a zarazem o wszystkim. Fenicki bada Jima na okoliczność jego spotkania z właścicielem pobliskiego hotelu; okazuje się, że hotelarz próbował podkupić Jima wyższą stawką za stanie przed drzwiami jego przybytku, ale Jim odmówił, woli bowiem dostać mniej za leżenie i czytanie w sklepie, niż więcej za stanie pod hotelem. Zresztą Jima nie zajmuje bytowanie na polskiej prowincji. Marzy o podróży do Afryki i o tym, że będzie tam murzyńskim królem. Obaj wiedzą, że to tylko młodzieńcze fascynacje.

Tę pogawędkę, ten refren sklepowej codzienności, przerywa nauczyciel Leleski. Leleski jest teraz uosobieniem zawodu i nieszczęścia. Wczoraj nie zdążył na spotkanie z ukochaną, bo go dwie panie w szkole molestowały o Murzyna, a trzecia czekała – i nie doczekawszy się, poszła sobie. Lekarstwem dla Leleskiego jest papier, co może go nabyć u Fenickiego, bo na tym papierze napisze do swej wybranki sowite usprawiedliwienie wczorajszego spóźnienia.

Leleski wspomnia o szkolnym odczycie dzisiejszego wieczora, więc Jim gotuje się do przyjęcia swych pensjonarskich wielbicielek. Fenicki wychodzi, zostawiając Murzyna na gospodarstwie. Wtedy wbiega zdyszana Hela. Skarży się Jimowi na nudę wykładu „o minerałach w ogólności” w wykonaniu bezpłciowej Rybskiej. Chłodne minerały kontrastują z jej wczorajszym snem, gdzie sama była jak pożar, który Rybska gasiła. Na hasło pożar zjawiają się pozostałe pensjonarki: Lusia, Miecia, Czesia, Doda, Mania i Stasia. Nagle niebezpieczeństwo staje się realne: ulicą idą dyrektor Ada i Rybska. Dziewczyny nurkują za kontuarem, żeby panie ich nie dostrzegły, choć Jim nie rozumie tych obaw i lęków. Kiedy chcą cichaczem uciec do domów, Jim protestuje: bez was będzie mi nudno!

Zostają zatem, bo Ada z Rybską odeszły. Kiedy dwie kobiety znikają z pola widzenia pensjonarek i Jima – czarna nitka łącząca szkołę ze sklepem zaczyna się naprężać do granic własnej wytrzymałości i staje się struną. Niebawem zacznie wydawać dźwięki, z początku nieuporządkowane, nieśmiałe, ciche – potem coraz bardziej zuchwałe, nieoczekiwane, złowróżbne.

Ale nie sprzedajmy wypadków.

Jim proponuje dziewczętom zabawę „w Afrykę”, do której przecież bardzo pragnie wyjechać. W towarzystwie pensjonarek nie musi opowiadać się z realności, jak Fenickiemu, który zawsze pyta go o to, skąd na tę podróż weźmie pieniądze; przy uczennicach wszystko jest możliwe: chce, to pojedzie. Więc jadą tam razem, ułożeni na sklepowych poduszkach wygodnie niczym do sennego marzenia. Przewodzi wyobrażeniom Jim – który już porzucił Europę i zmierza ku swej właściwej ziemi, gdzie z początku co prawda tubylcy będą go chcieli zjeść, ale rozpoznawszy w nim swego niebawem uczynią go królem. Będzie też chciał mieć ze sobą królową, godną jego, króla.

Zabawa w Afrykę staje się grą w Afrykę; puszczone wolno wyobrażenia pensjonarek kontrastują z wyobrażeniami Jima – ale i pomiędzy sobą kontrastują jeszcze bardziej.

Dla Jima tysiąc żon w Afryce to nie problem. Ale każda z panienek chciałaby być tą jedyną żoną. Negocjują zatem – jest ich w szkole dwieście – czy jeśli pojedą z Jimem – dwieście wystarczy? Jim wspaniałomyślnie wyraża zgodę, więc konkurencji jest mniej. Gra w Afrykę rozkwita, kiedy Jim proponuje nastrój i gasi światło. Hela, najstarsza, protestuje, bo nastrój dawno wyszedł z mody i nie należy być prowincją. Poza tym przy sypialnym, tam, w Afryce – według Heli, musi być łazienka. Jim proponuje jezioro pod palmą. Opowiada sugestywnie i obrazowo, uwodzi swoją tęsknotą i fascynacją, przywołuje obraz ojca, co został przy hotelu, otwierając gościom drzwi, ale on pojedzie, popłynie, ucieknie Europie. Pensjonarki słuchają, wniebowzięte egzotyką, komentują, że bardzo był interesujący w tej chwili uniesienia, że w jego brutalności jest pewien styl, że nie ma granicy między rasami i gatunkami, bo i małpy mogą ludzkie dzieci wychować.

Tu gra „w Afrykę” idzie na skos doskwierającej pensjonarkom niedojrzałości – Hela walczy przeciw Lusi, a obie przeciw najmłodszej, naiwnej Stasi. Hela przetrawiła już egzotykę jako „jeszcze jedną atrakcję” dostępnego jej świata – Stasia chłonie opowieści nieświadoma ich odległych konsekwencji; krzycząca „jestem uświadomiona” na całe miasto pod ratuszem Lusia nic tu nie zmieni. Stasia

zostaje niewinna; Hela wieszczy początek postmodernizmu; Lusia mogłaby liderować lokalnemu strajkowi kobiet; ale nie będzie, bo za wcześniej się urodziła.

Zabawa czy gra – kończy się wraz z niespodziewanym wtargnięciem sił porządku – oto Adai Rybska po pewnej zwłoce wchodzi jednak do sklepu, aby usidlić pensjonarki w lubieżnych objęciach nastroju wytworzonego przez Jima. Przyćmione światło i poduszki, na których leżą, świadczą przeciwko nim. Gra słów staje się grą radykalnej represji. Na poduszkach, żeby było miękko – mówi Adzie Jim; co pan powiedział, miękko? To głupie kozy przyszły po nadzwyczajne wrażenia! – ripostuje Rybska, jakby miękkość była lubieżna sama w sobie. Wypieki na twarzach pańienek i włosy rozczochrane dopełniają obrazu zbrodni; zbrodni, której za nic nie chce dostrzec stary wiarus Fenicki, co właśnie wrócił do sklepu, aby go zamknąć.

Struna drga i wytwarza wagnerowskie tony; od nieuporządkowanych dźwięków drżą na tej strunie niewinne czekoladki, które paniom Adzie i Rybskiej proponuje na ugodę Jim. Rybska krzyczy, że to cynizm; walczy o zhańbione domyślnie białe, nieletnie biedactwa, pożarte rządzą piętnastoletniego Murzyna. Postmodernistyczna Hela, uświadomiona Lusie, ugodowa Mania, niewinna z racji wieku Stasia nie bardzo rozumieją, dlaczego wokół ich gry i zabawy w Afrykę taka powstała konsternacja ciała pedagogicznego. O co temu ciału chodzi? I czyje to ciało? Na pewno nie Rybskiej, bo ta jest bezpłciowa – więc dyrektorki Ady?

Po wszystkim Fenicki zamyka sklepowe drzwi i witryny. Podczas tego przekręcania kluczy i zasuwania żaluzji Jim zwierza się Fenickiemu ze srogiego zawodu: te dziewczyny nie pojedą z nim do Afryki; bo zanim spojrzą na księżyc, to pomyślą, czy modnie jest na to patrzeć, a jak pada na nie złoty deszcz, to baczą tylko, żeby się spódnica nie zaszargała.

Struna zadrgała dźwiękiem, który przechodzi w cień dźwięku. Niebawem stanie się cieniem samej struny.

Gabinet dyrektor Ady jest równie jasny i przejrzysty jak wtedy, gdy oglądaliśmy go po raz pierwszy, dwa dni wcześniej; ale wokół

obecnych w nim osób unosi się jakaś mglista aura, jakby strzępy owego cienia, który powstał z dźwięków struny, która powstała z naprężonej nitki. Ada w ślicznym szlafrocжку zapewnia Rybską, że głowa już ją nie boli, ale Rybska uważa, że moc wczorajszych wrażeń w sklepie zasługuje na ból nieco dłuższy. W te rozważania o bólu fizycznym wkracza nauczyciel Leleski z bólem psychicznym, wręcz egzystencjalnym: zaproponowana na wieczór rada pedagogiczna uniemożliwi mu znowu spotkanie z ukochaną kobietą. Kiedy zboląły Leleski wychodzi, Ada zwierza się Rybskiej, że i pensja, i praca pedagogiczna zdecydowanie jej się znudziły. Rybska oczywiście protestuje, bo nie wyobraża sobie zamiany światłej i otwartej na nowinki szefowej na jakąś starą babę o zaśnieżonym mózgu. Rozmowy nie pozwala im dokończyć woźny Wojciech, wysłany wcześniej do sklepu Fenickiego; przynosi stamtąd wiadomości – i cygaro, które dyrektorce podarował za jego pośrednictwem Jim. Na wieści od woźnego Ada reaguje znacznym ożywieniem, bo wieści to niebanalne: niebawem odwiedzi ją w gabinecie subiekt Jim.

Ada układa misterny plan, który pozwoli jej rozmawiać z niepokojącym Murzynem sam na sam. Kiedy chowa do szafy smakowite ciasteczka mające osłodzić to spotkanie, pojawia się Kukliński, dziadek Lusi, zaniepokojony wczorajszym późnym powrotem wnuczki do domu, dzieli się z Adą swoimi obawami: dziewczyna miała wypieki, włosy rozczochrane i jakieś złote w nich papierki. Dyrektorka, próbując pozbyć się natręta, wyjaśnia późny powrót Lusi wieczornym odczytem „o minerałach w ogólności”. Cień tajemnicy spowija każdego, kto tego dnia pojawi się tutaj, bez względu na wiek, pozycję i nastawienie do życia.

Przed spotkaniem z Jimem Ada wzywa do siebie nieszczęsne uczestniczki wczorajszej „gry w Afrykę” w papierniczym sklepie, nie ujawniając im oczywiście, że niebawem zobaczy się z czarnoskórym subiektem. Rozmowa pani dyrektor z Helą, Manią, Lusią i Stasią jest pokazem ironii i uciekania przed tematem dla obu stron niewygodnym. Ada próbuje dowiedzieć się, czy podczas spotkania w sklepie doszło do „rzeczy gorszących”, do niedopuszczalnych incydentów intymności, ale pensjonarki ukazują się jako mistrzynie

celnych i błyskawicznych ripost, których efektem nie jest oczywiście dotarcie do prawdy, lecz pozostawienie jej w dogodnym cieniu. Zniecierpliwiona bezowocnym przrzucaniem się konceptami retorycznymi Ada przejmując inicjatywę i zaczyna snuć prowokacyjną opowieść o tym, co może się wydarzyć, gdy w ciemnym, przyjemnym ciepłe dziewczęta poczują tęsknotę za bliskością atrakcyjnego chłopaka. Opowieść przerywa Wojciech, chrząknięciem oznajmiając przybycie Jima. Domysły pani pedagog zawisają więc w próżni, pozostają otulone strzępami cienia snującego się tego dnia po całej szkole.

Dziewczęta wychodzą, wkracza niezauważony przez nie Jim.

Schadzkę – bo to przecież spotkanie w tajemnicy – Ady z Jimem otacza już nie tylko cień, ale opar absurdu. Na wstępie pojawiają się kwiaty dla gospodyni, bo Jim dowiedział się od Fenickiego, iż z kobietą zawsze zaczyna się od kwiatów. Potem z inicjatywy gościa rozmówcy przechodzą na „ty”, bo tak wygodniej. Wystrój gabinetu nie budzi co prawda entuzjazmu subiekta, gdyż jest nazbyt europejski, ale książki tam zgromadzone przyciągają jego uwagę, dopóki nie dowie się, że mało w nich obrazków. Pomiędzy rytualnymi lub ironicznymi uwagami padają nieśmiałe deklaracje wzajemnej sympatii: oto oboje podobają się sobie nawzajem, Jim chwali ładne białe ręce Ady, a gdy ta usiłuje je, nieskromnie przypadkiem ukazane, zakryć – subiekt stanowczo protestuje, chwytając gospodynię za rozneglizowaną kończynę. Gra w niekonieczną niewinność między elegancką panią pedagog a zuchwałym nieco, lecz na wpół nieśmiałym młodym Murzynem zostaje nagle przerwana przez niespodziewane wkroczenie Rybskiej. Schadzka kończy się bez konsekwencji – ale z widokami na przyszłość. Nic nie jest jeszcze przesądzone: Jim liczy na to, że białe ciało nauczycielskie odłoni przed nim być może nieco więcej swych powabów, Ada o władnięta cieniem dla niej samej zaskakującym pozwala sobie przypuszczać, że zna oczekiwania Jima. Te domysły pozostają poza dostępnym nam czasem wydarzeń.

W tym czasie – w czasie cienia – do gabinetu wkracza Mania. Wkracza – bo przecież dobrym obyczajem szkoły było wchodzenie

do gabinetu dyrektorki bez pukania; do dziś; Ada oświadcza, że od teraz pukać jednak należy.

Mania chce pochwalić się szefowej pensji napisanym właśnie wierszem. Przy okazji odkrywa obecność Jima w gabinecie, Adzie nie pozostaje zatem nic innego, niż zawołać pozostałe pensjonarki uwikłane w czarny problem: Helę, Lusię i Stasię.

W ostatniej dostępnej nam wygłoszonej kwestii Ada przyznaje rację ironicznym i oratorskim zdolnościom pensjonarek, użytym przez nie podczas poprzedniej rozmowy. Rzeczywiście można rozmawiać z Jimem o Afryce, o murzyńskiej sztuce, o palmach, jeziorach, złotym deszczu – i tylko rozmawiać. Ponadto Ada deklaruje, że Jim będzie przychodził do niej regularnie, żeby się uczyć, bo nie samymi obrazkami w książkach żyje człowiek. Co prawda subiekt wcale tego wcześniej nie sugerował, ale milczy i nie protestuje. Od teraz, jeśli Jim z kimś zagra w Afrykę, to już nie z pensjonarkami.

Jeszcze tylko najmłodsza Stasia chce ratować niewinne i nieracjonalne marzenia, przypominając Jimowi jaskółcze skrzydła, na których list może zostać zanieiony do krainy jego przeznaczenia, do Afryki. Ada kwituje to wystąpienie jedynie racjonalną propozycją: idź sobie Stasiu!

To nie Stasia rządzi teraz zbiorem dostępnych emocji – rządzi nimi cień, który spadł z dźwięku struny, która wcześniej była skromną nitką.

## **PAPIEROWY KOCHANEK**

Czy życie ludzkie warto jest przeżyć? Odpowiedź na to pytanie, jakkolwiek byłaby pokrętna, to znaczy filozoficzna, warta jest co najmniej katolickiej mszy, ale też teatralnej komedii. Okruchy tej odpowiedzi pojawiają się wraz z okruchami chleba na dębowym stole w starej, upadającej gospodzie, gdzie pod jednym dachem dogorywają typy tyleż komediowe, co tragiczne.

Oto podstarzała, bezrobotna Była Tancerka siedzi obok Człowieka Bez Zajęcia (upadłego za młodu intelektualisty) i Starego Poety (wieszca na niechcianej emeryturze). Gospodyni ponurego zajazdu, nazywanego powszechnie Pod Trzema Latarniami, dokarmia i dyscyplinuje zebranych. Trzy nędzne żarówki oświetlają kamienną podłogę i ściany oraz żeliwny kaloryfer – jedyną widoczną tu oznakę nowoczesności.

Tancerka narzeka na chorobę w piersiach, Poeta w czerwonym szaliku zbyt dużo pije, Człowiek Bez Zajęcia rozważa rytualne samobójstwo. Dzień jak co dzień dekadentów. W mrok posępnej knajpy wkracza nagle Stróż, meldując, iż znalazł w pobliżu wygłodzone indywiduum, dostatecznie odbiegające od powszechnej normy, aby na gościnę szlachetną w zajeździe dekadentów zasłużyło. Tak właśnie pojawia się na scenie Pierrot.

Gruba, sarkastyczna i arogancka gospodyni Trzech Latarni karmi go razowym chlebem i mlekiem, bywalcy gospody przyjmują jak swego. Tylko córka karczmarki, delikatna i marzycielska Izabella interesuje się nowym przybyszem, proponując mu cukierki zamiast chleba; wygłodniały Pierrot czyści jednak z okruchów blat, rysując przed nową wielbicieleką uroki swego poetyckiego języka.

Komentarz Starego Poety podsumowuje sytuację – nie do pozazdroszczenia niepewny los pięknych przegranych: wszyscyśmy papie-

rowi ludzie, ludzie z książek lub z obrazka. Ma rację. Stąd już tylko krok do wydrążonych, chochołowych ludzi pewnego zamorskiego poety. Zwiędła niczym papierowa róża Tancerka, pozbawiony nadziei na papier dzieła intelektualista bez zajęcia, wygłaszający papierowe kwestie Pierrot nie mają przed sobą przyszłości. A jednak żyją.

Czy to znaczy, że życie warte jest przeżycia?

Rezydujący tu chwilowo Agent wielkiego przedsiębiorcy poszukujący pracowników z natury rzeczy odpowiada na to pytanie twierdząco: warto żyć, a na pewno pracować dla jego mocodawcy. Jak doskonale wie – nie uda mu się zatrudnić dekadentkich stałych bywalców gospody. Ale z Pierrotem warto spróbować – a nuż ten odmieniec okaże się produktywny?

Co do produktywności Pierrota musimy na razie wstrzymać się z oceną, bo oto zmieniamy scenerię. W miejsce ponurego zajazdu pojawia się elegancki, nowoczesny i pełen przepychu salon dostatniego, nawet bardzo dostatniego przedsiębiorcy. Przedsiębiorcą jest Pan Hipolit. Oprócz oszałamiająco bogatego salonu ma też Kamedynera, Agentą (który bywa czasem u wspomnianych dekadentów) i Lekarza, co wychodzi właśnie z pokoju córki Hipolita. Córka bowiem niedomaga, a źródło jej dolegliwości jest Hipolitowi nieznanne, więc mu doskwiera. Lekarz wyrokuje: to nerwowe.

Diagnoza Hipolita uspokaja. Biologia jest nieubłagana, ale psychiką da się sterować. Lekarz rekomenduje rozrywki, a przede wszystkim – jakiegoś młodzieńca dla młodej damy. Na to wchodzi Agent i ogłasza, że ma w ręku usługi Pierrota. Wystarczy je kupić, niezbyt drogo.

Ta pyszna koincydencja – myśli w głębi nieświadomości Hipolit – czyż nie potwierdza prawdy, że życie godne jest przeżycia? Na jawie świadomości zaś rozpoczyna rozmowę z nowym pracownikiem, terapeutą schorowanej bez powodu córki.

Rozmawiają jak równy z równym, co nie zawsze Hipolitowi odpowiada. Hipolit Pierrotowi oferuje brak głodu i stabilny dach nad głó-



wą, a ten mu o ptaku w złotej klatce; bo niby on, Pierrot, to wcielona poezja; ale czy wyżyje się poezją tylko?

Czuły jest na poetyckie wyzwania i uroki Hipolit, wcale się z tym nie kryje, wręcz przeciwnie: codziennie urządza sobie w salonie „kwadrans dla duszy”, kontemplując tu wymarzone instalacje z kwiatów, świateł, ozdób wszelakich i egzotycznych zapachów. Czyta też wiele, również poezje, więc z Pierrotem dogaduje się jak ze swoim. Tylko, że ten „kwadrans” Hipolita jest Pierrota życiem całym. To wystarczy, żeby zrozumieć, ale czy wystarczy, żeby się porozumieć? A czy w ogóle warto żyć?

Pan Hipolit nie myśli jednak teraz o sobie, ale o swojej chorej na nerwy córce. To dla niej, przy współpracy z oddanym technikiem Tauderem i biuralistą-muzykiem Lilijką szykują w salonie inscenizację z udziałem Pierrota. Są urokliwe światła, nostalgiczny nastrój muzyki, wiele kwiatów i wreszcie Pierrot, co pod nogi Panny Nelly rzucić ma naręcza roślin, robiąc wrażenie.

Inszenizacja odbywa się, Nelly, rozdygotana w nerwach córka potentata przemysłowego obserwuje inscenizację, wszyscy wysilają się ku osiągnięciu efektu – a efekt zawodził!

Po kosztownej prezentacji Hipolit pyta córkę: no i cóż? - licząc na aplauz. Tymczasem córka kwituje wysiłki: tak... nieźle.

Rozgoryczony Hipolit wychodzi. Jeśli żyć warto, to na pewno trudno.

Panna Nelly zostaje sam na sam z Pierrotem. Ten, jak zwykle, poetyzuje. Ona mówi mu, że samodzielnie tłumaczy hiszpańskich poetów, recytuje Pieśń nad pieśniami po hebrajsku, uczy się sanskrytu. A wszystko, co nie dosięga jej wybujałego wzwyż i w nicość ideału – nudzi ją.

Pierrot osłonięty bezpiecznymi, papierowymi kwestiami, które wygłasza namiętnie, lecz mało oryginalnie, usiłuje bronić swego przesłania. Wszak on żyje tylko w tych niemodnych metaforach, poetyckich przenośniach, w tej napuchłej pozą sztuczności, a tymczasem Nelly każe mu po prostu powiedzieć: apteka. Mówi albo z bez-

brzeżną melancholią, albo tragicznie; a to miała być po prostu apteka. Jak każda inna.

Czy warto żyć dla takiej neutralnej apteki? Pierrot się waha. Ale podejmuje wyzwanie.

Panna Nelly w obfitym salonie swego ojca uczy Pierrota prostoty wypowiedziania się. Nie będzie już księżniczki zakochanej w zubożałym kasztelanie, co spotykają się przy pełni księżyca na tle urokliwej winorośli – będzie sprzedawca kapeluszy dyskutujący o kwestiach bieżących ze sprzedawczynią sałaty, a nie będzie to wtedy, gdy słońce ostatnie promienie kładzie na pomarszczoną taflę jeziora, lecz wtedy, gdy robi się ciemno. No i ta wszechogarniająca, tragiczna, wybujała nie wiadomo skąd miłość. Czy wszyscy muszą się kochać, abyśmy my mogli o nich opowiadać? Nelly tryumfuje, Pierrot ulega. Upraszcza się wbrew sobie, bo przecież życie warte jest przeżycia, nawet z nieczułą na poezję Nelly.

Niebawem młodych dyskutantów zastępują w obfitym salonie zaci starsi panowie. Hipolit szykuje sobie specjalne „pół godziny dla duszy”. Dziś mija pięćdziesiąt lat od chwili, kiedy Hipolita dziadek w tym domu, wówczas o wiele skromniejszym, wygarbował swą pierwszą skórę wołową, sprzedaną niedługo później jako skóra bawola. Hipolit przekonuje córkę, że dla takiej firmy i dla takich marzeń warto żyć. Fakt, że dziadek nie tylko garbował, ale czasem i oszukiwał. I jedno, i drugie doprowadziły go do fortuny, którą dziś wnuk jego dziedziczy i przekazać ma jedynej córce. Jest, dzięki pracy, uporowi i przekrętom dziadka tak bogaty, że może nawet sobie pozwolić, ot tak, dla fanaberii, na utrzymywanie Pierrota, stanowiącego, jak widzi, ulubioną córki zabawkę.

Nelly, uwiedziona ideowymi wizjami innych kultur, wstydzi się ojca i jego schedy zdobytej czymś takim jak praca, nawet jeśli była uzupełniona modlitwą i oszustwem. Nie przekonuje córki nawet zapewnienie ojca, że jest porządny tylko dlatego, że jest bogaty.

Hipolita martwi najbardziej nie ten ogólnoludzki protest uświadomionej w ideach różnych kultur Nelly, ale jej pragmatyzm. Wyrzuca Hipolitowi, że urządza sobie cichą domową uroczystość, kiedy tak naprawdę powinien na okoliczność rocznicy rodzinnej firmy dać

pracownikom podwyżki. To argument trudny do odparcia, lecz Hipolit poradzi sobie z nim za chwilę, omawiając sprawę ewentualnej, hipotetycznej podwyżki ze swoim ulubionym technikiem, Tauberem. Sprytny Hipolit dowiedzie, iż pieniądze szczęścia nie dają zarówno bogatym, jak i biednym.

Dowód dowodem, a rocznicą rocznicą. W salonie zakwita sztuczne żółte słońce z żarówkami naokoło, sztuczne czarne kwiaty w prawdziwych wazonach, sztuczna, choć lejąca z siebie wodę fontanna. Hipolit dysponuje, Tauber zarządza. Rocznicą jest dorodna: słońce zaświeca się i gaśnie, woda wzbiera i ciurka z rurek, kwiaty kwitną, światło świeci na zmianę wszystkimi odcieniami tęczy. Dla takich chwil życie warto jest przeżyć! - myśli Hipolit.

W przekonaniu tym utwierdza go też nasz ulubieniec – Pierrot. Nawinął się akurat podczas prywatnych obchodów znacznej rocznicy z gitarą – niech więc mówi. Wszak Hipolitowi nigdy nie udawało się przemawiać do jego ukochanych kobiet tak, jakby chciał przemawiać. Przy każdym spotkaniu z Franią czy Manią był banalny – i jako człowiek odczytany, wiedział o tym. Niech go więc Pierrot uczy tego, czego Nelly Pierrota pragnie odczytać.

Czy ważne kto mówi? Nie – ważne, kto potwierdza prawdziwość słów wytworzonym ze strun gitarowym akordem; Pierrot przemawia – Hipolit potwierdza gitarą. Chciałby umieć tak mówić. Ale nie umie.

Umie za to odmówić podwyżki pensji technikowi Tauberowi, choć ten i bez podwyżki na zniesmaczonego życiem nie wygląda. Podobno wierzy nawet w istnienie duszy. I w to, że ogród miłości, o którym tak głośno ostatnio w domu przedsiębiorcy dzięki obecności Pierrota, może być wszędzie, nawet na kapuścianym polu. Byle byli ci, co się kochają.

I są tacy. Kiedy tylko Pan Hipolit z Tauberem opuszczają salon, pojawiają się tam Oni.

Szybko wbiega Panna Nelly i zatrzymuje się przy ścianie. Pierrot czai się „chcąc ją za chwilę zdusić w namiętym uścisku”. Uprowadzając go, Panna Nelly przebiega szybko, zręcznie, ku ścianie prze-

ciwnej. Potem znów biegnie, zatrzymując się pod słońcem przy fontannie. Tu Pierrot chwyta Pannę Nelly i nie wypuszcza z objęcia, w którym przegina się ona „złączywszy się ustami z ustami Pierrota”. Pozy są dekoracyjne. Melodyjka na gitarze.

Kiedy Hipolit wraca, nie wierzy własnym uszom. Jego rozkapryszona, zde gustowana córka przemawia jak sam Pierrot. Słyszy nie gitarę, a harfę, widzi nie żarówki, lecz słońce, i pachną jej nawet sztuczne kwiaty. Coś się stało.

Kiedy coś się dzieje, mija też czas. Wszystko bowiem na tym niedoskonałym świecie dzieje się w czasie. Nie jest jednak tak, że czas czasowi równy. Bywają czasy wyjątkowe, a nawet wyjątkowe chwile. Jak na przykład ta, kiedy Panna Nelly mówi Panu Hipolitowi, że będzie miała dziecko.

W środowisku Hipolita panna w ciąży to nie nowość. Nie po przecież on i jego koledzy uporczywie garbowali skóry arystokratycznych przesądów, aby teraz pannie odmawiać prawa bycia w ciąży. Co innego, gdy panna jest własną garbarza córką. Tu wypada się oburzyć. Więc oburza się Hipolit, zgodnie z córki oczekiwaniami. Ale oburzenie jest tymczasowe. Wszystko bowiem zmierza do znanego i oczywistego finału: życie warte jest przeżycia!

Pierrot, ojciec dziecka, ożeni się z Nelly. Co prawda wierzga jeszcze cienkimi, romantycznymi nóżkami w obawie więzów wiążących go małżeńskim węzłem z domem garbarzy-burżujów, ale wie, że ulec musi. Zbyt mocno uwierzył w to, że życie warte jest przeżycia, żeby teraz demonstrować bezpłodny protest, mając zapłodnioną ukochaną w zasięgu ślubu. A i „złota klatka” tak wydaje się konstruowana, że nie bardzo uwiera wolnego ptaka. Ot, życie.

Co dalej? Niesforna Nelly podsłuchuje pod drzwiami rozmowę swego ojca z Pierrotem i stwierdza, że obiekcje Pierrota wobec małżeństwa z nią są nieco przesadzone, bo jej przecież wyznawał miłość księżycową, a tu tak przyziemnie się targuje o swoją poetycką skórę. Więc Nelly wypada z ukrycia i kłótnia gotowa. Groźna pozor nie, ale zażegnana. Ślub jednak będzie.

Krawiec szyje Pierrotowi uroczyste ubrania. Nie na ślub tylko – na całe życie. Surducik, cylinderek, laseczka w rączce, kolacyjka, muzyczka, kobietki – nuci krawiec podczas przymiarek weselnego stroju. Jak tu nie słuchać krawca? Czas zrzucić szaty pierrocie.

Bez tych szat, bez poetyckiego języka, bez burzy w sercu i słońca na niebie – czy życie warte jest przeżycia?

## DZIEWCZYNA Z LASU

Biegnę ku ciemnej ścianie lasu po ubitym wiejskim śniegu. Za mną upaja się własną wspaniałością drobny dworek mojego narzeczonego, co właśnie mi się publicznie oświadczył. Tłum i zgiełk. Uroczyste typy umierającej klasy. Nachalna żydowska muzyka jak w dawnych zajazdach. Zostawiam światło i dźwięki za sobą. Nie oglądam się. Pamiętam żonę Lota – a ja nie chcę zniknąć, chcę tylko uciec. Nie wiem dokąd, nie wiem do kogo, więc biegnę ku lasowi, skoro on nie chciał przyjść do mnie. Wbiegam w ścianę drzew i nagle w głowie wybucha mi jakaś dzika muzyka, którą ktoś wytworzy pewnie za kilkadziesiąt lub kilkaset lat: Idziemy przez las, idziemy przez las, pijani od słów. Siekiera dźwięku. Na horyzoncie Nowa Aleksandria. Nie wiem, co to znaczy, ale zamiast biec, zaczynam iść.

Idę przez las. Przez las zawsze chodziłam donikąd, dopóki nie spotkałam Olka. Kolejny cios siekierą. Przyjmuję – tak jak jego przyjęłam wtedy w siebie, młódka, córka gajowego, co bliżej zwykle był chłopów niż szlachty, do której należy mój luby, porzucony przed chwilą hrabia z niewydarzonego dworku. Olek teraz zdycha pod czujnym okiem wiejskiego konowała, Olek kłusownik, mój pierwszy, ten, co jego pień poczułam jak ból i jak radość, tu w lesie. Nie wiem, czy się kochaliśmy. On mówił, że tak. Mówił, że do miłości jestem stworzona. Taka to była gówniarska miłość kilkunastolatków – moja dziupla, jego drągowina, moje usta, jego usta. I las wokoło, taki jak teraz. W tym całym bałaganie, jaki mam w głowie, tylko las się nie zmienia.

Już nie będzie porządku. W mojej głowie już nie będzie porządku. Pierwszy raz czuję to tak mocno, tak przystępnie, tak jasno. Idę i myślę za mnie drzewa. Sosna. Prosta, w towarzystwie innych prosta z przymusu. To mój narzeczonny, Wielorzecki. Z hrabiów wyrósł, i z nich zmałał, kiedy spalili mu w wojnę rodzinny dworek. Odtworzył

z dworku coś, co było tylko ratunkową łodzią, sypialnią i kancelarią w jednym, no i jeszcze jadalnią, w której ja mu ostatnio obiady podawałam. Długie było to ciche narzeczeństwo – bardziej byłam buchalterką Pana Inżyniera Rolnika niż ukochaną niewiastą. On rósł, a ja przy nim trwałam, może też nieco podrosłam, ale zawsze przy nim. Teraz idę od niego w las. Jemu gra żydowska muzyka. Mnie szumi las. Siekiera.

Chaos się płacze, bo i co ma robić chaos? Tak się przyplątał niedawno przyjaciel narzeczonego Witomski. Mieszczuch, co odwiedził Wielorzeckiego, bo mu się oglądania wsi i lasu zachciało – z nudów i z bezbożności. Kiedy wszedł do domu narzeczonego wiedziałam, że będzie miał na mnie ochotę. Owszem, przystojny. Może nie odmówiłabym. Ale siedzieli z narzeczoną pół wieczora wspominając dawne lata i ustalając, gdzie ten Witomski ma mieszkać. Pewnie przyznał się mojemu przyszłemu, że chciałby mnie zaliczyć, ale nic z tego – moje to moje – rzekł hrabia i Witomskiemu rura zmiękła. Słyszałam przez ścianę te piękne rozmowy mężczyzn dzielących skórę na niedźwiedziu w kobiecym ciele, jeszcze nie ubitym.

Ja już jestem ubita. Jak krowa, jak ta nieszczęsna jałówka, medalistka, co ją na zdjęciu podziwiał Witomski, przez chwilę mówiliśmy to samo: Co za rasa! - tylko ja o jałówce na zdjęciu, a on o portrecie babki Wielorzeckiego. Idę przez las i jestem ubita. Ubita w sobie własnym moim chaosem. Nie będzie już porządku. Siekiera. Cios.

Kiedy Witomski przyjechał, nie chciał mieszkać u nas, szukał czegoś na wsi. Owszem, podobał mi się, ale jak tu nie zamieszka – trudno. Chciał poznać życie ludu. Mój narzeczoney rozporządził rozsądnie – wysłał go do leśniczówki mojego ojca. Las Witomskiego zamknął w sobie. Uwiódł go mój ojciec – gaduła i alkoholik. Wyobrażam sobie, jak siedzieli wieczorami, stary przywodził przed myśl stare opowieści, swoje zmyślane opowieści, a młody słuchał i zauraczał się coraz bardziej, jeszcze nocne wycieczki w puszcze, lisie tropy, wilcze gówna, sarnie skomlenie za drzewem. Znam ojca – uroklawie potrafi sobie przysposobić do wódki kompana, jeśli tylko kompan stawia.

To może wtedy już zaczął się chaos. Zaraz po Witomskim przyszedł Olek. Olek nie przyszedł – wkradł się do domu podstępnie, bo drzwi zostawiłam otwarte, jakbym na niego czekała. A przecież nie czekałam. Już wtedy był bałagan w mojej głowie i nie czekałam na nic. Po ośmiu latach więzienia za kłusownictwo i za zabicie gajowego wchodzi mój pierwszy w życiu mężczyzna, chłopak uroczy i niezdarzy, krnąbrny i zapalczywy. Widzę jego pień i moją dziuplę. Widzę nas przed ośmiu laty w lesie, na polanie, pod słońcem grzechu i pod księżycem wyzwania rzuconego światu. Wtedy byliśmy ciałami, teraz koncypujemy, oszukujemy. On chce strzelby. Osiem lat więzienia niczego go nie nauczyło. Dalej chce kłusować, niebacznym na to, że gajowych mir naruszył i że oni uwzięli się na niego i zabijają, gdy tylko okazja się nadarzy. Strzelby mu odmawiam. To narzeczonego strzelba, jakże oddać ją mam temu przybłędzie, kryminaliście, odrzutkowi z wyboru, nieszczęsnemu straceńcowi? Namawia coraz bardziej. Całuje. Usta i dziupla, usta i pień. Chaos. Oddaję mu strzelbę z szafy Wielorzeckiego. Po ośmiu latach jeszcze pamiętam to ciało, te spazmy, te radości pod niebem lasu. Radosne nieuporządkowanie. Szaleńcza przynależność do tego, co pierwszy odwiedził dziuplę grzechu i szczęścia.

Wziął strzelbę i zniknął, choć już myślałam, że narzeczonego go znajdzie, bo wrócił z podróży, kiedy Olek był jeszcze w domu. Wtedy się bałam, że się wyda. Że wszystko się wyda, że otworzy się wór z prawdą i wysypią się z niego wszystkie nasze winy i zaniechania, nasze być i nie być, nasze miłostki i miłości, nasza codzienna nicność i wieczna próżność. Nic się nie wysypało. Olek uszedł cało do lasu ze strzelbą mojego szlachetnego narzeczonego, żeby robić wbrew mojemu ojcu kłusownicze wypadki w puszczy, Witomski zaszył się leśniczówce gajowego i mnie z głowy sobie wybił ręką lojalności wobec przyjaciela, a tropy w lesie rosły i pęczniały.

W tym chaosie ojciec przychodził czasem po pieniądze na machorkę i na wódkę. Nieszczęsny dyplomata próbował mi powiedzieć, że o Olku, zabójcy gajowego z okolicy sprzed ośmiu lat, wszyscy okoliczni gajowi już wiedzą. Tropią jak psa czy wilka i w końcu dopadną. Nawet gdybym chciała – nie mogłam go ostrzec, ukrywał



się i mnie porzucił, tak jak wtedy, kiedy go zamknęli; a czy bym chciała? Nie wiem.

Siekiera. Cios. Znamię na głowie rozrasta się jak szaleństwo. Nie tylko u mnie. Oto narzeczony postanawia wynagrodzić kolegę Witomskiego za to, że zaszył się w lesie i mnie nie tknął. Urządza nasze zaręczyny. My urządzamy nasze zaręczyny, bo wszak kobieta przy wcieleniu w życie planu męczyzny jest niezbędna. Wielkie to będą zaręczyny. Plan porządny – szkoda że wyszedł z tego tylko chaos i bałagan. A zaczynało się zacnie.

Typy z okolicy charakterystyczne, jak siekiera mocne: szlachciury zapalczywe, chłopcy bogate i zadziorne, proboszczyna, muzykanci żydowscy cudem powołani do zanikającego życia, wódka i nalewki, pierogi i kartacze, kapusta i mięsiwa, napoje i desery, dom przystrojony uroczyście jak na Wielkanoc, choć zima, ciasta na koniec zakryte serwetami, by nie wyschły. Piękne wspomnienia. Kiedy świat nam umykał, kiedy goniliśmy z Wielorzeckim za zyskiem z rolnictwa, za swym zaprzepaszczonym w rozumności narzeczeństwem, za koniunkturą nicości – fajnie było patrzeć na przepych dawny i dawną moc – choćby zanikającą, lecz przez nas pobudzoną. Ja – córka gajowego, skromna osoba, zaszczute dziewczę – a jednak pani domu, narzeczona hrabiego, zaręczyny, jakich od wielu, wielu lat nikt we wsi nie widział. Czy to był porządek?

Nie. To była kolejna odłona chaosu. Pień, w który wbito siekierę, aby chwilowo odpoczęła przed ostatecznym zadaniem ciosu mojej głowie.

Niosę swoją głowę przez las. Idę przez las pijana od słów. To nie moje słowa. Gdzieś podobno kiedyś mnie w jakiejś sztuce teatralnej opisano. To nic, to tylko słowa. Pijana od słów zataczam się po lesie, po śniegu, pod sosnami prostymi jak mój narzeczony, pod wygiętymi w pałąk bukami kruchymi jak mój pierwszy Olek, pod ułomną jarzębiną obrzędów, pod dębami, co opróżnione już są z tradycji. Las. Chaos. Siekiera. Pijani od słów.

Jeszcze chwilę temu trwała wspianiała impreza. Zjechali wszyscy, których znałam. Wielu ich, a tak mało znaczą. Jeden tylko wychylił się ponad niebyt – wuj narzeczonego, anarchista, czerwony hrabia,

renegat i wichrzyciel, bezużyteczny teraz przywódca biedoty, co już sama się broni, jeszcze z resztkami majątku rozrzucający plamy zbędnego bogactwa po zgłodniałym świecie. Skuł mnie bransoleta z czerwonym oczkiem jak kajdankami i rzekł, że czerwony to jego ulubiony kolor. Wielka to była bransoleta i ciężka, a oczko kamienne, szlachetne, czerwone – równie wielkie. Ot – fanaberia czerwonego hrabiego, na moim ręku złożona. Niosę ją ze sobą w las, idąc. Bransoleta, siekiera, chaos. I zgiełk.

Wśród zgiełku muzyki Żyda Mendla i jego wnuczki skrzypaczki roznoszę biesiadnikom jadło i napoje, wraz z wynajętą pokojówką, na tacach. Ręce nam drżą pod ciężarem dobytku, rozdawanego w chętnie gardła. Radość się szerzy – wszak to zaręczyny, moje zaręczyny, z hrabią. Wszyscy kontenci, że hrabianka przyszła taka ludowi przymilna, tak urocza, pogada z każdym, każdego pochwali, każemy przytaknie. Tak, przytaknę, pocieszę, przytulę. Wszak to tylko chwila przed wybuchem chaosu.

Chaos właściwy wchodzi wraz z moim ojcem, gajowym. Opowieść ojca w głowie mojej obraca się jak wbita weń siekiera. Idziemy przez las. I on szedł przez las. Pijani od słów. I on teraz pijany od słów, bo polując na Olka, mszcząc zabitego osiem lat temu kolegę gajowego, tylko słowami jest teraz pijany. Dopadli, ustrzelili. Kłusownik strzelał do gajowych ze śrutówki, co mu ją niedawno dałam, ale nie dał rady. Padł. Ojciec, ciągle pijany od słów, choć trzeźwy wyjątkowo, chełpi się potencjalnym zabójstwem. Schwyciłam ojca za poły kożucha i pytam twarzą przy twarzy, ze wzrokiem dzikim i jego, i moim; żyje? Ojciec ponuro: jeszcze dysze, a doktor się z nim cacka w gajówce. Rzeczywistość. Tu się kończy. I urywa się wątek realnego świata.

Potem tylko biegnę ku ścianie ciemnego lasu po chrupiącym pod butami śniegu. Koniec wsi i siekiera – idziemy przez las. Głowa pod drzewami. Głowa pod siekierą. Trzeba ją ściąć, bo dojrzała. Trzeba ją odjąć od ciała, bo osłabła, a póki głowa słaba, ciało mdłe. Ciało. Olek, pień i dziupla. Polana w lesie i to, co było miłością. Wielorzeczki i miłość rozumna. Witomski i życie ludu. Gorzałka w kieliszku przed spragnionymi ustami ojca. Zima. Śnieg. Sanie. Konie zaprę-

gać, jedziemy! A dokąd, panie? Jaki Panie, chamie, nie ma już panów. Jam inżynier – rolnik, a nie magnat jakiś. Tylko tęsknota przebija przez granicę lasu ze wsią. Nie bierz poważnie tej tęsknoty, kochanie. Zrobimy zaręczyny. Jakich nikt tu od lat nie widział. To taka przyjemność dla Witomskiego, że cię nie podrywał. Będą wszyscy. Sprosimy wielu. Będzie jak dawniej. Przypomnimy sobie lata świetności. Żydzi zagrają po swojemu ku naszej uciechu. Będzie pięknie.

Moja głowa. Moja siekiera. Idziemy przez las. Wszyscy idziemy przez las. Ja jestem Anna, córka gajowego, narzeczona hrabiego Wielorzeckiego, wykształcona buchalterka wiejskiego przedsiębiorstwa, doświadczona młodociana kochanka kłusownika Olka, odznaczona kajdankami bransoletki przez czerwonego hrabiego. Wszyscy idziemy przez las. Kim wy jesteście?

Kim byście nie byli, wiedzcie, że mój narzeczony też zawładnął chaosem, bo nie wypada przecież mi powiedzieć, że to chaos nim zawładnął. Kiedy zbiegłam z zaręczyn ku lasowi wrócił do sali, gdzie dawano wódkę i jadło, po czym zakrzyknął: nalewać! Więc nalano. Po czym zakrzyknął: pić! Więc pito.

Czy przyszedł do niego las? Nie wiem. Ja za to idę przez las. Ja, siekiera, ja, kobieta.



## ADWOKAT I RÓŻE

Był klasztor. Resztki klasztornych murów i posadzek w ogrodzie przetrwały, aby posłużyć znakomitemu kiedyś adwokatowi za siedzibę pełną ciszy, kiedy już praktyki zaprzestał i oddał się hodowli róż - w klasztorным niegdyś ogrodzie rozkwitającym ze spokojem godnym nastroju tego miejsca. Niektórzy zapalczywi komentatorzy orzekliby, że duch klasztoru pozostał tu, gdzie niejednen zakonnik przepisując szlachetną księgę starał się zerwać z życiem poprzednim i szukać ciszy; ale to nie duch pozostał, tylko nastrój. Ten bowiem jest zaiste wieczny, w odróżnieniu od zmiennego ducha, co zbyt często bywa „duchem dziejów” tylko.

Były adwokat, wielkiej sławy mecenas, słynny skuteczny obrońca w procesach beznadziejnych chroniący klientów przed moralną i prawną zagładą, miał służącego. Poznajemy ich, gdy Jakub, ów służący, kupuje od natrętnego chłopca sprzedającego prasę dwie codzienne gazety i obaj z adwokatem oddają się rytualnej lekturze. Rubryka sądowa skłania Jakuba do tęsknych wynurzeń. Wielu dziś ludzi siedzi w więzieniach, bo już takiego obrońcy jak jego mecenas, nie ma. Nikt nie wybroni skazańca przed karą, nikt nie ujmie się za potępionym. Jakub interpretuje to po swojemu: nie opłaca się dziś robić rzeczy złych i nagannych, bo granice prawa zacieśniły się, nie dając już pola do żonglowania sprawiedliwością. Mistrz sugestii i retoryki odszedł z zawodu - zatem strzeżcie się bandyci i złodzieje!

Gdy tak się zaczytują gazetą mecenas i jego sługa, nadchodzi mecenas siostrzenica, niosąc wieść w tej samej gazecie wyczytaną, ale przez dwóch starców przeoczoną. Oto na konkursie w Brukseli róża wyhodowana przez adwokata-amatora zdobyła pierwszą nagrodę; nazwana imieniem jego żony, stała się wzorcem niedoścignionym dla innych róż. Cóż za sukces! Co za nowina!

Nie pierwsza to niespodziewana nowina tego dnia. Nastrój unoszący się nad byłym klasztorem wydaje się zagęszczać. Kiedy siostrzenica mecenasa wraz z Jakubem planują rodzinną uroczystość mającą uczcić tak znaczne wydarzenie, w ogrodzie zjawia się agent policji, którego zadaniem jest wyśledzenie złodzieja róż. Mecenas jakiś czas temu policję o takim złodzieju, zakradającym się czasami do ogrodu, poinformował. Agent ma się w ogrodzie zająć na złoczyńcę, adwokat początkowo protestuje, ale usłyszawszy, że agent ów był niegdyś łapówkarzem, którego mecenas przed karą wybronił, ulega byłemu klientowi i agent zasiada w ukryciu, czyhając na złodzieja.

Niedługo po policyjnym agencie na podwórko mecenasa przychodzi młodzieniec Łukasz. Dziwny to człowiek. Deklaruje, że chce u mecenasa uczyć się hodowli róż, aby zmienić zawód i zmienić – swoje życie. Przychodzi niczym kiedyś nowicjusz do zakonu – ale jakże nowoczesny nowicjusz! Nie interesuje go ani ogrodnictwo, ani róże, ani zarabianie na różach, chce po prostu silnego, trwałego przeżycia, jakiego inaczej osiągnąć by nie mógł. Opryskliwy i ironiczny, nowy uczeń w nie istniejącej szkole hodowli róż – Łukasz – budzi zainteresowanie adwokata. Zostaje nawet zaproszony na wieczorne przyjęcie z okazji brukselskiej nagrody – ale wymawia się od udziału w nim, twierdząc, że najmuje się tu nie za trefnisią, ale na ucznia.

Mecenas opowiada mu właśnie o klasztornej przeszłości miejsca, kiedy w ogrodzie słyhać jakieś niepokojące odgłosy. Rumor i zgiełk przyciągają wszystkich domowników. Przed nimi staje rozogniony młodzieniec. Złodziej róż? Nie! Rozogniony młodzieniec deklaruje: zabiłem człowieka!

Kiedy widzimy poklasztorne podwórko adwokata tydzień później – okazuje się, że deklaracja młodego intruza o zabiciu człowieka była nieuzasadniona. Nie zabił – a tylko zranił. Zranionym był agent policji, agresorem syn kobiety nazywanej Damą.

Przychodzi Dama do mecenasa i spotyka Łukasza, ucznia studiującego, jak hodować róże. Wymieniają długie spojrzenia i krótkie zdania. Adwokat zdziwiony wizytą nieznannej Damy wysłuchuje jej ży-

czenia – aby bronił jej syna – ale wymawia się zaniechaniem praktyki. Lecz przeszłość upomina się o siebie. Dama bowiem nie jest anonimową kobietą zasmuconą perspektywą kary dla dziecka, lecz dawną klientką adwokata, „piękną Franią”, co uniknęła sporej kary za duże przestępstwo, a mecenas uczynił ją w swej obrończej mowie ofiarą okoliczności i splotów wypadków, które przed karą i potępieniem ochroniły ją perfekcyjnie. Oczyszczona za młodu Dama wierzy w zdolności niezapomnianego obrońcy; i chce z nich skorzystać dla dobra swego dziecka, domyślnego złodzieja róż w adwokackim ogrodzie.

Mecenas waha się, ale w końcu ulega. Może dlatego, że agent policji uświadomił mu wcześniej, iż kiedyś bronił tych, co nieprawości dopuszczali się na cudzych podwórkach, a teraz nieprawość jego własnego podwórka dotyczy – więc to nowe doświadczenie: być uczestnikiem sporu i jednocześnie jego sądową stroną, być poszkodowanym i broniącym agresora, być ofiarą i bronić sprawcy opresji; tak, to nowość! Mecenas podejmuje się obrony nieszczęsnego syna Damy i każe jej chwilę czekać, zostawiając zakłopotaną kobietę w towarzystwie swojej żony Doroty, imienniczki zwycięskiej róży.

Dorota wydaje się działać wbrew intencjom męża. Przekonuje Damę, że mąż może dawniej sięgał zenitu w obrończych usiłowaniach, ale skończył z praktyką, bo duch go opuścił, a on to dostrzegł. Mimo to Dama pozostaje przy swoim i wiąże się z mecenasem umową: to on będzie bronił jej syna, ale nie osobiście. Obrony podejmie się formalnie Marek, od wielu lat uczeń adwokata, zdolny i oczekujący „bojowego chrztu” na sądowej arenie.

Marek oczywiście się zgadza. Spokojny i zrównoważony, sumienny – lata wiernej służby mistrzowi owocują, pilność popłaca, nastrój sprzyja. Plan układa się sam z siebie; zacne następstwo pokoleń, młodzi za starymi, wznoszące za upadającym; wiara przed wątpliwościami.

Ale duch nie odstępuje. W tym samym klasztornym niegdyś ogrodzie pojawiają się wspomniany uczeń Marek i agent policji, co wy-

szedł ze szpitala po dotkliwym pobiciu przez młodzieńca, syna Damy. Agent ujawnia Markowi szokujące fakty.

Stał agent na czatach, obserwował, owego wieczora, gdy planowane było przyjęcie. Nagle zobaczył młodzieńca przeskakującego płot i biegnącego ku domowi mecenasa. Wypadł ku niemu z ukrycia. Przed napastnikiem otwierały się już drzwi na tyłach domu, a w drzwiach zamajaczyła postać kobieca, uchylająca je intruzowi. Jakaż to kobieta? Dziwi się Marek jeszcze nie mogąc zwątpić w cnotę pani mecenasowej, imienniczki róży, co wygrała w Brukseli. Ale już wątpliwości być nie może. Złodziej róż wdarł się do ogrodu adwokata nie po jego różę, ale po tę różę jedną, którą kradł mu na gminnie, za jej zresztą zgodą i ku jej upodobaniu.

Marek przeżywa psychiczny kryzys. Nie może unieść ciężaru nie swojej zdrady, ale zdrady w domu, do którego prawości ma wszak prawo: to uczeń ma czerpać z doświadczeń mistrza i na nim się wzorować, a cóż to za wzór, który nagle oszukany i zniesławiony się okazuje? Ironia nastroju, ironia losu każe wtedy spotkać się Markowi z Łukaszem. Odwracają się role. To Łukasz jest teraz uspokojony i zrównoważony, zaspokojony pełnią życia, zmienił się, odkąd różę hoduje pod okiem mecenasa i klasztornej przeszłości miejsca. Teraz Markowi przypisane jest szaleństwo i ironia idąca w ślad za nim, arogancja i zawód oczekiwań, agresja i upadek złudzeń. Na gruzach klasztoru dwaj uczniowie spierają się o spadek duchowy po ich wspólnym mistrzu – wspólnym w jakże różnych dziedzinach życia! Duch krąży nad tym sporem badając nastrój – to, co łączy ucznia Łukasza i ucznia Marka. Kiedyś spisywali synoptyczne ewangelie. Teraz – nie wiadomo co się stanie.

Proces nieszczęsnego młodzieńca, syna Damy, trawa długo – do jesieni. Kiedy listki róż zaczynają już więdnąć, poklasztorny ogród ogarnia nostalgia przejściowych chłodów – gości tego ogrodu ogarnia skrywana nieudolnie gorączka oczekiwania na wynik procesu. Dziś rozprawa, dziś mowa ostatnia obrońcy Marka, dziś wyrok na młodzieńca. Żona mecenasa Dorota, siostrzenica i Łukasz oczekują na wiadomość z sądowej sali.



Właściwie oczekują wyłącznie Dorota i siostrzenica, bo Łukasz przynosi tylko wyhodowaną przez siebie pod okiem mistrza różę – i deklaruje, że odchodzi z ogrodu i z różanej szkoły. Nie chce udzielać wyjaśnień, mówi tylko, że nadał swej niedoskonałej jeszcze róży imię adwokata, choć wie, że to bezprawna uzurpacja.

Wychodzi (już na zawsze – a może tylko na długo) Łukasz, pojawia się Przyjaciel mecenasa. Kobiety mają nadzieję, że zna już wynik procesu, ale ten wyszedł z sądu przed naradą sędziów, bo wołał oczekiwanie osłodzić rozmową w dobrym towarzystwie. Przyjaciel jest pod wrażeniem mowy obrończej Marka, wrażeniem tak wielkim, że nie narysował, jak to miał w zwyczaju podczas innych obserwowanych procesów – karykatury obrońcy. Nie śmiał kłaść kome-diową kreską tego patosu i piękna, jakie od obrońcy rozsiewały się po całej sądowej sali. Prawdziwe piękno – według Przyjaciela – pojawia się wtedy, kiedy jeden człowiek broni drugiego człowieka. Adwokackie sztuczki, atrakcyjna frazeologia nie streszczają w sobie tego piękna.

Miał rację Przyjaciel – choć nie do końca wiedział, o jakiej obronie mówi i obrona kogo sprowokowała początkującego Marka do wydzielenia z siebie tych fal piękna. Nie chodziło przecież o to, aby nieszczęsny syn Damy, kochanek Doroty, niesforny student, uniknąć kary: stawką był honor poklasztornego domu mecenasa, bo Marek przecież honoru owego był nieklamany spadkobiercą i beneficjentem. Broniąc nieszczęśnika uwiedzionego przez starszą od niego żonę mecenasa bronił siebie – przed zaprzepaszczaniem wartości, przed dyshonorem zdrady, przed nikczemnością plugawej codzienności i przyziemności.

Wreszcie wkracza do grodu, powracający z sądu, mecenas. Komunikuje zebrany: uniewinniony, ale nie draży tematu. Poleca tylko oszczędzić Markowi gratulacji, bo czuje, jaki jego uczeń dźwigał na sobie ciężar.

Dorota i siostrzenica oddychają z ulgą. Pierwsza oddycha – bo kochanek uniknął więzienia, druga – bo wielkość wuja potwierdziła się w jego następcy. Na chwilę pojawia się jeszcze Dama, aby po-

wiedzieć adwokatowi krótkie „dziękuję”. Piękna Frania trzyma fason nawet starzejąc się.

Zwycięstwo – jakże to chybotliwe słowo w zestawieniu z całą prawdą za tym zwycięstwem stojącą, a nie ujawnioną – domaga się uczczenia. Siostrzenica i adwokat proponują na wieczór, odłożone z powodu niespodziewanej przygody w ogrodzie, przyjęcie na okoliczność brukselskiej nagrody. Wszyscy są za.

Panie i przyjaciel idą szykować sprzęty i wiktuały na zasłużoną ucztę. Marek i mecenas zostają na chwilę sami. Komentują proces – ogródkami i zakosami Marek usiłuje uświadomić adwokatowi faktyczną sytuację, czyli zdradę jego żony. Mecenas przerywa mu, twierdząc, że nie trzeba dosłowności i „kładzenia łopatą do głowy”. Marek jest zadziwiony spokojem mecenasa. Jakąż siłę ducha trzeba mieć, aby dostojnie przyjąć bolesną potwarz zdrady. Mecenas z uśmiechem wyjaśnia nieporozumienie: to nie siła ducha, tylko trwałość nastroju. Czy Marek zauważył, że Łukasz i Dama od dawna „mieli się ku sobie”? Teraz wsiadają właśnie do romantycznego pociągu, który uwiezie ich ku ogrodom zbyt późnej – dla niej – i zbyt wczesnej – dla niego – przelotnej miłości. Igraszki ciała i ducha odbywają się w czasie. Nastrój czasu nie zna.

Jak to w klasztorze – obecnym czy byłym – panuje cisza i spokój. Przygotowanie do nobliwej uczyty cnotliwych mieszczan zakłóca na chwilę uwaga siostrzenicy, że róża pozostawiona przez Łukasza wydaje się płonąć w zachodzącym słońcu.

Wszyscy ją uspokajają: otóż to – wydaje się płonąć, więc nie płonie. To tylko nastrój, nie duch.

## **KOWAL, PIENIĄDZE I GWIAZDY**

Między okiem a łzą – jak śpiewał kiedyś poeta – świat się rozszczepia. Między młotem a kowadłem – jak zauważy wiejski kowal – sypią się roje gwiazd, całe galaktyki iskier tryskające z rozgrzanego żelaza.

Poetę zostawmy na boku, poradzi sobie. Zostańmy przy kowalu. On też, jak poeta, ma oko, a w nim łzę; jemu też świat się rozszczepia, i kowal nie bardzo potrafi sobie z tym rozszczepieniem poradzić; nie umie nawet nazwać elementów owego rozszczepienia, szukając po omacku wyjaśnienia zaskakujących zagadek, jakie los przed nim stawia, przeciwności, co pojawiają się znikąd i we łzie pozostają, zakrętów zdarzeń uniemożliwiających dostrzeżenie horyzontu.

Kowal, jak Hefajstos mocny i niezłomny, nosi przaśne nazwisko Luśnia, i jest chłopem zaradnym, ale sam sobie z kosmicznymi przestrzeniami nie poradzi. Będziemy go wspomagali i doradzali mu z daleka, ale broń Boże nie jako czuły narrator – raczej jako prześmiewca, ironista inspirujący do walki o siebie – i o świat wokoło.

Gdyby był nieco bardziej uważny, mniej zaślepiony urokiem nowej żony, pięknej zaiste i wygadanej przyjaźnie, ale za nic nie wiernej – przeżyłby osiemnaście lat po wydarzeniach rozpoczynających tę opowieść mniejszą traumę i łza mniejsza mniejsze by spowodowała rozszczepienie. Ale głupi był i naiwny, więc teraz cierpi.

A oto, jak się zaczęło.

Odziedziczył Luśnia kuźnię po ojcu, mistrzu, i niebawem sam stał się mistrzem. Na co dzień konie podkuwał z rozmachem, ale też ozdoby żelazne produkował ze znanostwem i smakiem, kując ogrodzenia i sztachety, krzyże i bramy, kraty i siekiery. Młodo się ożenił,

ale szczęścia nie znalazł w tym związku, dzieci też nie; żona okazała się mrukliwa i nieprzyjemna w obejściu, więc kiedy młodo zmarła, z ulgą odetchnął. Żonę drugą znalazł niebawem i ta okazała się miła, przyjemna i radosna. Ale za to dom mu się spalił, więc zamieszkali w przybudówce do kuźni. Dzieci tylko nadal z ich pożycia nie było. Aż do pewnego wieczoru, który opowieść właściwą otwiera.

Żona kowala żegna się z kochankiem. Tak! Dwa lata z Luśnią znudziły ją na tyle, że znalazła sobie we wsi wędrownego muzykanta, skrzypka, niepoprawnego włóczęgę, co wieczory bez zapracowanego męża mógł jej umilić. Ale wędrowiec wędruje nieustannie, więc i kochankę porzucić musi dla drogi. Wtedy pojawia się w domu nieświadomy zdrady Luśnia w towarzystwie kupca. Pech chce, że kupiec w domu kowala umiera. Nad jego trupem przeskakuje uciekający kochanek żony. Wszyscy to widzą – ale Luśnia nie dostrzega zagrożenia. Już jest przegrany – a przegra jeszcze więcej, gdy okaże się, że kupiec ów, nazwiskiem Kruk, miał przy sobie niemałą sumę pieniędzy w złocie, które po przeszukaniu miejsca zgonu nie odnajdują się. Luśnia wychodzi na złodziejską hienę, na tego, co trupa obrobił ze złota.

Mimo kowalskiego mistrzostwa, mimo dobrej zawodowej opinii u ludzi – inna opinia wodzi teraz zbiorową wyobraźnię, jak pędzlem, wokół kuźni. Luśnia złodziej! Dom spalony odbudowuje – bo Kruka po śmierci obrobił. Córkę na nauki do muzycznej szkoły wysłał – bo kupca okradł ze złota.

No właśnie. Córka. Dzieci przez dwa lata nie było i nagle – jak znikąd – rodzi się córka. Żona Luśni przy porodzie umiera, zabija ją owoc niecnego występku, bo to przecież nie kowala córka, tylko muzykanta, Jasia, kochanka nieszczęsnej. Gdyby Luśnia wiedział o tym zawczasu – może rozszczepienie byłoby po latach mniejsze; ale nie wiedział, więc jest wielkie. Oko i iza ledwie mieszczą się na scenie.

Przez osiemnaście lat zmarły w domu kowala kupiec kładzie się niechcianym cieniem na nieprzyjaznym Luśni świecie. Wszyscy, co w kuźni interesu nie mają, omijają dom kowala. Wszak to złodziej. I może z za grobu Kruk, kupiec okradziony, straszy tam czasami,

wkurzony na grabież po śmierci. Osiemnaście lat wstydu, osiemnaście lat poniżenia wśród nieuzasadnionych podejrzeń, osiemnaście lat cichych, podstępnych oskarżeń, osiemnaście lat spuszczonego oczu i ściszonego głosu, strachu, tęsknoty za normalnym życiem i życia tego, normalnego, brak doskwierający.

Nie radził sobie z tym Luśnia, bo nie mógł. Wszak Hefajstosem nie był, nie nakrył Afrodyty swojej z jakimś Aresem i sieci na nich nie zarzucił – więc grzązł w niewiedzy. A niewiedza kieruje wzrok nie wiedzącego ku gwiazdom – tym lichym namiastkom losu ludzkiego i powszechnego, tym fantomom uświadomienia, tym grom uzurpacji, tym skrom, co konstelacjami sypią się spod kowalskiego młota przypadkiem – a tu nagle mają być syndromem przeznaczenia.

Szukał więc kowal wśród gwiazd i nie znalazł – bo nie wiedział nawet, o co ma pytać. I nagle niezapowiedziany zwrot akcji - wychodzą z zakazanych zaułków wszechświata zapomniani wędrowcy. Osiemnaście lat po klęsce, po posądzeniu nieprawym o kradzież, nawiedzają Luśnię ludzie – jak duchy.

Najpierw córka kupca Kruka, tego ponoć okradzonego, przyjeżdża na ojca grób, po osiemnastu latach od jego śmierci. Też niezła artystka! Kruk opowiedział o niej Luśni tuż przed śmiercią. Czternaście lat miała, gdy z domu uciekła – żeby tańczyć. On, handlarz końmi, bogaty, przecież tańczyć jej nie zabraniał. Ale ona chciała na scenie. Sama. Przed obcymi. I zrobiła, jak chciała. Dojechała do tancenecznych stolic Europy a potem jeszcze za ocean. Wędrowka jest celem samym w sobie. Taniec też. Nagle ocknęła się, że grób ojca odwiedzić warto, siłą rzeczy trafiła na Luśnię. Ten zalekziony, że o pieniądze po kupcu upomni się, spadkobierczyni; ale ona uspokaja – nie o kasę tu chodzi, tylko o sentyment. Gdyby kowal ogrodzenie wokół cmentarza naprawił, bo krowy na groby wchodzą, ona kowalowi zapłaci.

Zapłaci, czy nie zapłaci, kowalowi wszystko jedno. Nie wie nawet, że z jego córką, Zosią, co do szkoły muzycznej została posłana, córka Kruka znajduje wiele wspólnego podczas przypadkowej rozmowy. Oto bowiem spotykają się wędrowcy, ci, co wierzą, że „życie jest

gdzie indziej”. Nie ma wśród nich czeskiego prześmiewcy Kundery, ale są dobrzy znajomi kowala: Jaś, skrzypek, śmiały muzykant, co córkę żonie Luśni sprokurował; ta właśnie córka, harfistka w muzycznej szkole przez kowala opłacanej, uświadomiona przez córkę Kruka, kupca, że do grona wędrowców należy nie z tego, że wędruje fizycznie, ale z ducha. Tak oto artyści zaciskają wokół głowy kowala ostateczną pętlę. Nie wymknie się z niej, poharatany, pohańbiony, zniewolony wyobrażonymi nieudolnie gwiazdami, pamiętający wszystko jakże fałszywie i jakże niewinnie – ale nieskutecznie.

Cóż z tego, że przychodzi nagle niespodziewane wyzwolenie od posądzeń o kradzież? Czy nie za późno na ocalenie? Osiemnaście zmarnowanych lat – to dużo, to niemal wieczność. Ot, głupota kowala. Nie docenił obrotów losu, nie docenił lotu gwiazd, którym tysiąc lat jest jak dzień jeden.

Dlatego buntuje się Luśnia nawet wtedy, gdy go wyzwalają z obłączenia powszechnych wyobrażeń o wiejskim złodzieju trupów. Przychodzi żebrząca po wsiach starucha, podpierająca się ciężkim kijem. To ona była u Luśni osiemnaście lat wcześniej, prosząc o strawę. Ona dostała od wiarołomnej, lecz przychylniej żebrakom żony kowala kij po kupcu, pozostawiony w koncie. Kij solidny i ciężki, służył żebrzącej staruszce przez osiemnaście lat. I w roku osiemnastym używania kija na drogach i bezdrożach starucha zadała sobie metafizyczne pytanie: dlaczego kij jest taki ciężki? Odszukała zakrętkę pod uchwytem i rozkręciła. Z kija posypały się złote monety – dobytek Kruka. Luśnia patrzy na czerwoną chustę pełną złotych krążków, dla których oddał lokalnej społeczności osiemnaście lat życia.

Głupi był Luśnia. Z miejsca się nie ruszał, tkwił jak kamień na progu swej kuźni, wierząc tylko w mistrzostwo młota i konstelacje iskier ponad kowadłem. W głupocie dotarło do niego bolesne rozszczępienie oka od ły. Nawet płakać już nie umiał, kiedy lokalni kuglarze, bracia Dedejko, weszli przypadkiem na scenę rozsypywania cudzego, zagubionego złota na czerwoną chustę. Z bagażem kukieł na ramionach, z przebraniami teatralnymi w plecakach, rozweselali

bracia Dedejko wszystkie okoliczne festyny i wesela. Oto właśnie pojawiło się w okolicy wypasione wesele, a z nim i bracia kuglarze. Słuchają opowieści Luśni. O śmierci Kruka, o zaginionych pieniądzech, o osiemnastoletniej hańbie, o niespodziewanym końcu tej hańby, rozrzuconych przez staruchę monetach. Bracia Dedejko mają koncept – trzeba historię tę, prawdziwą, przerobić na dydaktyczną historyjkę dla dzieci. Dobro broni się zawsze – prawda rządzi światem. Teatr jest od pouczania o tym co dobre i słuszne. Na festynach i piknikach wiejskich i parafialnych historia Luśni wybrzmi jako artystyczna prawda. Dobro wygrywa – bracia Dedejko potrząsając worami pełnymi kukieł przekonują kowala, że i on wraz z dobrem na scenie wygra; wszak był pierwowzorem konceptu artystycznego.

Oburzył się Luśnia. Znów głupi, więc go kolejny raz musimy pouczyć: gwiazdy gwizdzą na twoje, Luśnia, osiemnaście lat społecznego niebytu; gwiazdy gwizdzą na twoje, kowalu, mistrzostwo w zawodzie potwierdzone dobrobytem i licznymi klientami; gwiazdy gwizdzą, mężu, na twoją rodzinną hańbę, na nieprawą córkę w domu, na zdradę pięknej żony. Gwiazdy gwizdzą na wszystko. Te na niebie i te spod twojego młota bijącego o kowadło.

Opuszczamy cię, kowalu, jak wcześniej opuściliśmy poetę, co śpiewał o rozszczępieniu. Od teraz musisz sobie radzić sam – z kowalstwem, z pieniędzmi, i z gwiazdami. Wiemy, że sobie nie poradzisz, i pewnego dnia uznasz, że życie nie jest warte przeżycia. Być może będziesz miał rację – ale czy to będzie racja twoja, czy twoich gwiazd?

## DZIEWIĘĆ LAT

Szatańska pomyłka sprawiedliwości. Nie zwykła, rutynowa pomyłka, jakich na pęczki w wymierzaniu kar przez sędziów, w gromadzeniu oskarżeń przez prokuratorów, w ustalaniu linii obrony przez adwokatów. Coś ponadto – szatańskie nasienie błędu, wzrastające szybko, choć niepostrzeżenie, w podstępny zaciszu obskurnej klatki dla więźnia.

On doskonale pamięta tę wizytę adwokata w celi, kiedy usłyszał magiczne hasło wygłoszone przez zakłopotanego kauzyperdę: szatańska pomyłka. Ot, jeszcze jedna formuła mająca uzasadnić niezbędność prawa w oczach nieuświadomionej publiczności. On, nieuświadomiony co do meandrów systemu i zestawu reguł, wie jedno: siedział w tej celi dziewięć lat za zabójstwo, którego nie popełnił i o którym nawet nie myślał, dopóki nie okazało się, po dziewięciu latach, że zaiste nie jego to zbrodnia i nie jego powinna być kara.

Ale była. Kara była jego tak bardzo, że marzył nocami o zbrodniach kolejnych, co uzasadniłyby jego tu pobyt, o winie będącej kary następstwem, a nie poprzednikiem. Ot, sprawiedliwość odwrócona w czasie i w kierunku wynikania: najpierw kara, potem wina. Przez dziewięć lat samotnego przemyśliwania o nieistniejącej (w nim) zbrodni, o biegu czasu, co się na dziewięć lat zatrzymał, o beznadziei i o nadziei, przez dziewięć lat z dnia na dzień tracił poczucie upływającego czasu i z czasem starał się spierać, popychać go w różnych kierunkach, kształtować wedle swych wewnętrznych upodobań, poganiać lub zwalniać. Sam najchętniej zwolniłby się ze służby w czasie, w świecie, który dla niego w momencie ogłaszania fałszywego wyroku zaniknął; w systemie ludzkiego bezpieczeństwa gwarantowanego sądowymi orzeczeniami. Wszystko zawiodło.

Był z dziewczyną w kinie i nagle go zamknęli. Zarzuty absurdałne, teorie wyssane z palca, ale poszlaki nieposzlakowanie prawdo-



podobne, domysły nad wyraz uzasadnione. Prawniczy bełkot domagający się kary tam, gdzie jest wina. Nieważne, że człowiek winny i człowiek ukarany to dwaj różni ludzie. Tu w celi przypomniał sobie zapomniany już wyraz kauzyperda i pielęgnował go w sobie do chwili, gdy przyszedł adwokat i rzekł, iż zaszła szatańska pomyłka. Wtedy zrozumiał. To nie żaden delikatnie przezwany kauzyperda – to sam szatan we własnej osobie i w todze.

Ona doskonale pamięta ten swój okrzyk na sądowej sali, kiedy ogłoszono wyrok, a jej ukochany miał przepaść w więziennej nicości na bardzo, bardzo wiele lat. To okrzyk doskwierający człowiekowi, kobiecie, przez całe życie, wypełnione pustką: Będę na ciebie czekała! Tak, będę na ciebie czekała – to brzmi pięknie zarówno dla tych, co w winę skazańca wierzą, jak i dla tych, co o niej wątpią. Ona nie była pewna, do której kategorii należy. Ale czekała.

Jej młodość nie sprzyjała czekaniu, jej uroda nie sprzyjała czekaniu, jej aktorski talent, odkryty niebawem po uwięzieniu ukochanego, nie sprzyjał czekaniu. Stawała się powoli filmową gwiazdą, obiektem westchnień milionów, i mimo to czekała. Nikt jej tego nie nakazał, nikt nie zmuszał, wręcz przeciwnie – każdy orzekłby, iż czekanie to nie ma sensu. Nieważne. Niech inni orzekają za siebie – ona czekała.

Kolejne schodki kariery filmowej gwiazdy i kolejne pokusy. Przecież nie trzeba czekać w samotności, żaden związek nie jest na wieczność, nikt nie mówi o katolickim ślubie. Nic z tego. To wykrzywane na sądowej sali oświadczenie trzymało ją w ryzach wierności mocniej, niż jakieś obce dogmaty czy namacalne satysfakcje. Ona czekała naprawdę, czekała wiernie, nostalgicznie, bezgranicznie – poza tym robiąc karierę gwiazdy europejskiego kina, robiąc pieniądze, robiąc sławę, robiąc pozycję.

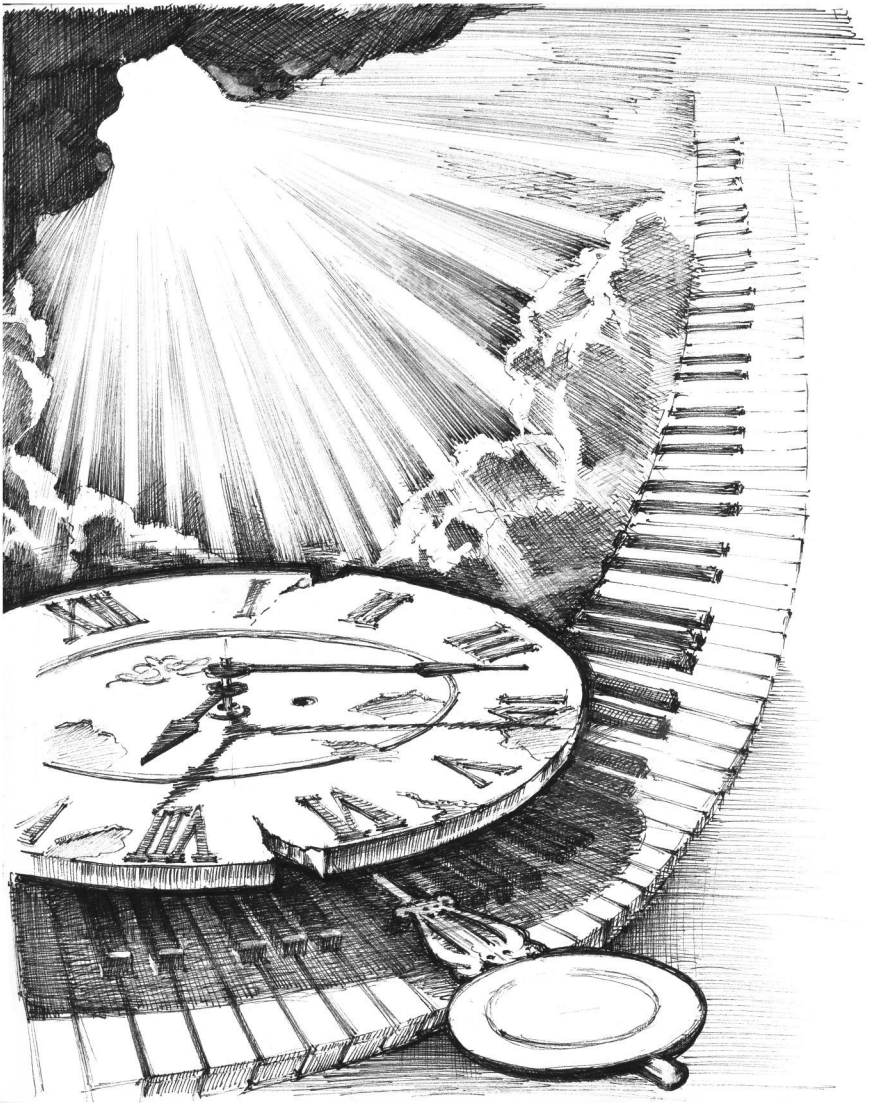
I oto przychodzi dzień, gdy pomyłkę szatańską w szatańskich meandrach systemu wykryto, gdy ona podjeżdża pod bramę więzienia eleganckim samochodem a on wychodzi jej na spotkanie wypuszczony z klatki, oswobodzony od zarzutów, uwolniony od niesłusznej kary. Wychodzi – i dziwi się: naprawdę czekała.

To przecież dziewięć długich lat, przez które ona – jednak – rozkwitała, a on – mimo wszystko – marniał. Jadą jej samochodem i milczą. Krajobraz wolności przemawia do niego z okien limuzyny i to mu wystarcza. Po co mówić? Wchodzą do jej eleganckiego domu i wygłaszają porządkujące jego tu obecność uwagi. Trzeba wprowadzić w ich życie jakiś porządek, nowy, po dziewięciu latach, porządek. Ona porządkuje, on słucha i grzecznie potakuje, niepytany – milczy.

Trudno się tej rozmowy słucha. Taka niemodna, nieefektowna, poszarpana, niezborna. Ona ma w głowie efekt swojego wiernego czekania i próbuje ożywić jego źródło: okrzyk na sądowej sali. On wie, że bajka się skończyła, zanim się zaczęła. Piękna panna z majątkiem, pozycja filmowej gwiazdy, z licznymi koneksjami i znajomościami nie zrównoważy w ich związku owej szatańskiej pomyłki, o której niedawno usłyszał. Cóż z tego, że będą mieli z czego i gdzie żyć; cóż z tego, że byli sobie w tym niechcianym rozstaniu wierni – ona z wyboru, on z konieczności; cóż z tego, że ona ma plany podróży gdzieś nad Śródziemne Morze, do krainy wiecznej łagodności, aby on mógł lata skazania na samotność zapomnieć. Nic z tego. Nic z tego nie będzie.

Czy kolejna szatańska pomyłka? On wstaje i mówi, że odchodzi na zawsze i nic już go z nią nie łączy. Ona zdziwiona i niby zaskoczona nie zdąży zaprotestować – kiedy on już znika. Ona płacze cicho, łzy płyną obficie.

Sen minął. Minęło dziewięć lat. Minęło życie.



## FORTEPIAN

Czy ktoś już mówił o tym, że świat skończy się nie krzykiem, lecz skomleniem? Jak bardzo chcielibyśmy na koniec posłuchać autentycznego krzyku rozpacz, rozdzierającego głośnego płaczu w obliczu zagłady! Wszak kończy się świat – czyli wszystko. Jeśli kończy się wszystko – nie pozostaje nic. A tu tylko przeciągły, łagodnie nostalgiczny, budzący żal – a nie żal – skowyt, obojętne skomlenie o jeszcze jeden dzień zwłoki przed zagładą. Gdybyż to był huk, grom, grzmot, błyskawica – ale nie! To tylko potulny jęk, co nawet się nie kończy – i sam koniec świata przeżyje jęcząc.

Opowieść ta zakończy się w momencie, gdy ręce pianisty zawiśną nad klawiszami fortepianu, tuż przed początkiem koncertu. Różnymi drogami zejdą się do salonu w bogatym domu rodziny Baltów miłośnicy muzyki, aby posłuchać ważnego dla nich i pewnie genialnego utworu. Spotkają się ci, co należą do świata odchodzącego, i ci, którzy wyobrażają sobie, że to, co z sobą niosą, jest światem nowym. Nikt nie będzie krzyczał – każdy będzie po swojemu skomlał. Poznajmy zatem skomlących.

Oto rodzina Baltów. Rodzina składa się z pani Balt, pana Balta, ich córki Heleny, syna Waldemara i zmarłego młodo Krzysztofa, już nieobecnego. Starzy Baltowie prowadzą rodzinną firmę muzyczną, w skład której wchodzi: szkoła muzyczna, sale koncertowe, biblioteka, szczytkowe muzeum, warsztat produkujący fortepiany i salon, gdzie są one sprzedawane. Budynek firmy stoi w centrum miasta i wygląda jak pałac, nawet pałac w dobrym guście. Obok muzyki dobry gust jest hasłem rozpoznawczym Baltów – wszyscy, jak jeden mąż, są estetami.

Oto z drugiej strony niesforny i bezkompromisowy młody, choć podstarzały biznesmen Til. On nie ma rodziny – ale ma niezliczone pomysły na rozrost swojej firmy, mało tradycyjnej i mało estetycznej,

usadowionej w podejrzanej dzielnicy Kaczy Targ, gdzie pełno brudnych targowisk, zapyziałych szynków i podrzędnych lupanarów. Til zajmie się wszystkim, co zysk przyniesie, wykona każdy ruch, jeśli będzie przekonany, że to w jego interesach ruch do przodu. A do przodu niosą go rozchodzące się w tysiącach gramofonowe płyty z kiczowatą muzyką.

Pomiędzy ekspansywnym, nowoczesnym Tilem a tradycjonalistycznymi Baltami jeszcze kilka typów „pośrednich”: uzdolniony bardzo Profesor w szkole Baltów, rytualnie co miesiąc nadużywający alkoholu w szynkach Kaczego Targu dla zachowania psychicznej równowagi, bezrobotny muzyk Walewiak, niedoszły pianista, z zawodu buchalter, oraz uczeń Baltów pianista Janowiecki, występujący się dla pieniędzy Tilowi – jedyny, co w obliczu powszechnego skomlenia mógłby krzyknąć.

Zaczynamy ich obserwować, kiedy firma Baltów podupada, a firma Tila rośnie.

Widzimy, jak Helena, młoda plastyczka po paryskich szkołach, wraca do domu rodzinnego wezwana przez matkę. Z kolejowego dworca jej podróżne walizy odnosi do pałacu Baltów Walewiak – najwyszy się u młodej arystokratki na przypadkowego tragarza. Helena chce płacić za usługę – ale tragarz odmawia przyjęcia pieniędzy. Nagabywany o powód odmowy opowiada jej swoją historię.

Był pianistą, ale uległ kontuzji i wada ręki nie pozwoliła mu grać zawodowo. Próbował więc zostać buchalterem, lecz o pracę w tym zawodzie trudno, przygodnie więc pracuje na dworcu oferując usługi tragarza podróżnym. Dom, pałac Baltów, to dla niego świątynia. Stał niegdyś często pod jego ogrodzeniem, wsłuchując się w dobiegające z sal szkolnych i koncertowych dźwięki. A dla świątyni nie służy się dla zysku, więc wynagrodzenia od Heleny nie przyjmie.

Helena postanawia Walewiakowi pomóc i poleca go swej matce, aby ta znalazła dla nieszczęsnego tragarza-pianisty-buchaltera jakieś stałe zajęcie. Walewiak czeka na pomoc w pobocznym gabinecie, a Helena wita się z rodziną.

Po nocnych eskapadach pojawia się w domu jej brat, Waldemar oraz ojciec, stary Balt. Mimo radości z powrotu córki rozmowa nie jest przyjemna. Balt kpi z Waldemara, niby architekta, lecz bezpłodnego: jak do tej pory według jego projektu nic nie zbudowano. Obrazy córki też nie budzą jego entuzjazmu – nie są tradycyjnie estetyczne. Balt-ojciec daje młodym prawo do wolności w wybranych dziedzinach – ale tylko dlatego, że jeszcze stać go na finansowanie ich młodzieńczych fanaberii. Nie zdanie Balta jest tu jednak kluczowe – lecz zdanie Pani Baltowej. Ta zaś zdawkowo witając córkę zajmuje się szybko poleconym jej uwadze Walewiakiem, poszukującym zajęcia.

Zajęcie dla Walewiaka jest – trudne i tajemne, wymagające znajomości buchalterii – ale za to na pewien czas stabilne. Walewiak ma być tajnym pośrednikiem między upadającą firmą Baltów a wzrastającą firmą Tila. Przypadkowy tragarz wchodzi w posiadanie sekretów rodzinnych swych niegdysiejszych idoli. Już nie musi stać pod płótnem Baltów i wsłuchiwać się w strzępy szlachetnych dźwięków – może sprawozdawać Baltowej o tym, czy jej tajny wspólnik Til, produkując tysiące gramofonowych płyt, nie oszukuje jej przypadkiem.

Walewiak posadę przyjmuje i będzie teraz krążył między pałacem Baltów a Kaczym Targiem jako niejawny goniec nowych interesów.

Kilka dni później Helena nachodzi Walewiaka w jego nowym biurze. Świeżo upieczony buchalter starej firmy usiłuje wyrazić wdzięczność dla Heleny za swą posadę, ta jednak uznaje, iż była tylko pionkiem w nieznannej grze. To przecież jej matka, pani Balt, zarządza firmą; jest potomkinią zacnych przedsiębiorców i jeśli dała zajęcie Walewiakowi, to nie tylko za piękne oczy, ale z nadzieją na zysk z jego pracy. I nagle sprawne oko plastyczki Heleny dostrzega zasłaniany rękawem przez Walewiaka zapisany papier nutowy na jego służbowym biurku. Zapytany o ten arkusz niedosły pianista przyznaje się do winy: komponuje. Księgi rachunkowe nie są jedynym zajęciem podczas godzin pracy. A ten nutowy rękopis, co go próbował zasłonić, do Wariacje na temat pieśni Krzysztofa Balta,

brata Heleny, niegdyś z Walewiakiem zaprzyjaźnionego. Wiele tajemnic ukrywa stary świat. Helena uprasza buchaltera o nutowy zapis, bo chce go pokazać muzykom, węsząc dzieło godne premiery. Walewiak, choć skromny, ulega. Wszak lektura nut przez fachowców to jeszcze nie koncert. Niech czytają.

Kiedy wychodzi Helena, w biurze pojawia się Til. Przecież to dla współpracy z tym podejrzanym typem wynajęła Walewiaka Baltowa. Obu panom trudno znaleźć wspólny język, wspólną wizję rzeczywistości. Bo nie tylko stary świat, ale i nowy, dopiero wschodzący, wiele tajemnic ukrywa.

Dowiaduje się Walewiak od Tila, że ten, zanim wdał się w spółkę z Baltową, handlował kokainą i pornografią, za co nawet otarł się o areszt. Ale teraz wszystko robi legalnie – bo jego gusta i wyobrażenia stały się wreszcie legalne: można handlować wszystkim, co ludzie kupują, a nawet więcej – można gusta publiki kształtować podsyłając jej produkty, o których ona jeszcze nie wie, ale już powszechnie wiadomo, że są „pod publiczke”. Til nie tylko zaspokaja potrzeby odbiorców – on je świadomie tworzy. Na pograniczu narkotycznego oszołomienia i szału erotycznego jest wiele do sprzedania – i wiele do zarobienia. Tym bardziej, że technika sprzyja śmiałym. Płyta gramofonowa, tania dla nabywcy, reprodukowana w tysiącach, jest krociowym zyskiem dla sprzedawcy. Trzeba tylko dbać o to, aby nie zawyżać poziomu. Zbyt ambitnych rzeczy masowy odbiorca nie kupi – i Til dobrze o tym wie. Dlatego promuje to, czego Walewiak nie kupiłby na pewno. Ale kiedy ten mówi Tilowi wprost, że jego produkcji nawet by nie wziął do ręki, Til ripostuje: Nie musisz, to już kupiło dziesięć tysięcy osób! Tak oto były handlarz narkotykami i pornografią tworzy nową kulturę.

Na tę kurtuazyjną, choć nieprzyjazną wymianę zdań wchodzi do gabinetu pani Baltowa. Wszak spółka z dochodowym partnerem, Tilem, zobowiązuje do wspólnych planów. Walewiak z zażenowaniem słucha o nowych koncepcjach Tila, z niesmakiem obserwując obojętną i obronną postawę Baltowej. W tajnej spółce to Til wyznacza zarówno strategię, jak i taktykę. Zafałszowany folklor dla miasta

i skundlone miasto dla mieszkańców wsi – nowa, zyskowna kultura musi mieszać w starych tyglach, aby upichcić miksturę zyskowną dla jej producenta. Til śledzi pilnie granice między tym, co już przyzwoite, a tym, co jeszcze, do czasu, obsceniczne. W firmie Tila – niestety wspólnej z Baltową – owo pogranicze to istota kultury.

Ustalwszy biznesowe pryncypia na najbliższy czas – Til opuszcza pałac tylnymi drzwiami. Walewiak sam na sam z Baltową czuje się skonsternowany. Zatrudnił się u niej, wierząc, że przyczynia się do obrony tradycyjnej sztuki i wyższej kultury – a przychodzi mu towarzyszyć szefowej w jej własnym upadku. Jej uczniowie wynajmują się w szemranych studiach nagraniowych Tila, aby trochę zarobić – to jeszcze można zrozumieć. Ale oddanie pola hochsztaplerowi bez żadnego krzyku, czy nawet nieśmiałego skowytu? Uległość Baltowej wobec jej niechcianego, koniecznego partnera skłania Walewiaka do rezygnacji z posady. Oświadcza, że gdyby choć przyczynił się do naprawy dachu na uwielbianym pałacu – pracowałby dalej; ale przypisana jest mu rola tego, który póki co wpuszcza Tila kuchennymi drzwiami, a niebawem będzie mu otwierał drzwi główne; tego zadania nie podejmie się. W odróżnieniu od cichej Baltowej Walewiak skomle głośno – i chce z posady odejść.

Już za chwilę rezygnacja Walewiaka zostanie przyjęta, Baltowa pogodzi się z utratą oddanego pracownika – a tu nagle niespodziewany zwrot akcji.

Do gabinetu wkracza Helena z towarzystwem: rytualnie trzeźwym Profesorem, jego młodym kolegą (też profesorem), Waldemarem. Profesor trzyma w ręku rękopis z nutami zapisanymi przez Walewiaka. Helena, przewodząc zgadzającym się z nią fachowcom, informuje matkę, że jej buchalter jest muzycznym geniuszem. Jego utwór, wariacje na tema pieśni Krzysztofa Balta – to dzieło. Walewiak, tracąc posadę, zyskuje opinię: opinię geniusza. Skowyt starego świata przez chwilę staje się głośniejszy, a może nawet piękny; tego się już nie dowiemy, jak bowiem wspomniano na wstępie, ręce pianisty uniesione nad martwą klawiaturą będą ostatnim, co zobaczymy.



Mija czas wypełniony rytualnymi dniami tygodni, rytualnym skowytom starej kultury i równie rytualnym skowytom nowej. Sytuacja stabilizuje się: firma Tila nadal rośnie, firma Baltów nadal upada. Upadek Baltów zaczyna przybierać formy materialnie zauważalne: sprzedają obcemu część pałacu przeznaczoną wcześniej na szkołę; szkoła schodzi do oficyny. Sukces Tila idzie w ślad upadku: to on jest obcym, który od Baltów szkołę odkupił: będą to sale muzyki lekkiej, łatwej i przyjemnej oraz salon sprzedaży gramofonowych płyt.

Sceneria upadku i wzlotu dla Waldemara, estety przecież, choć utracjusza, jest porażająca. Spotyka w części pałacu Baltom pozostawionej Tila, który rozprawdza po domu murarzy, aby i po stronie sprzedającego zamurowali trwałość podziału. Piach, cegły, cement, brud, dyskomfort remontu. Waldemar nie jest dla Tila tak bezwzględny, jak niedawno Walewiak. Raczej boi powalać się przyniesionym tu niespodziewanie cementem, niż sprzeciwić uzurpatorowi. Til nie boi powalać się czymkolwiek, byle biznes kwitł; zwierza się Waldemarowi, że jego interes jest jak żywioł, jak woda: rozleje się wszędzie, zgodnie z powszechnymi prawami fizyki; rozleje się nawet po całym pałacu Baltów, bo pozwoli na to nieubłagana logika ekspansji w imię zysku.

Til tymczasowo wychodzi, a obok worka cementu, kupy piachu i kielni pojawia się pani Baltowa z Heleną. Skowyt matki sięga szczytu w rozmowie z niewdzięcznymi dziećmi. Wytyka Waldemarowi i Helenie, że korzystając z rodzinnej fortuny nie dbają o jej wzmocnienie. Tyle jest przecież wspaniałych kandydatów i kandydatek na żonę i męża, i dla Heleny, i dla Waldemara. Mogliby wyjść za spadkobierców „pieców azbestowych”, „czekolady”, ale są na to zbyt samolubni. Jakby przyszłość nie istniała – lub zależała od czegoś innego niż dobrze zorganizowane małżeństwo w wyższych sferach.

Tak sobie wyrzucają, skowycząc, nieudolności, gdy w salonie pojawiają się muzycy. Trzeźwy dziś Profesor, stary Balt, kilku znajomych przyszło posłuchać legendarnej już w środowisku kompozycji Walewiaka. Grał będzie Janowiecki; renegeat, degenerat, występują-

cy się niedawno Tilowi, wraca do swych korzeni. Jest optymistą, może nawet rewolucjonistą: jeśli szkoła sprzeda oficynę, zejdzie do piwnicy. Wszak w piwnicach powstały rzeczy największe dla naszej kultury. Janowiecki chce zaczynać od piwnicy, ale na razie siada w powalonym wapnem salonie do fortepianu wyprodukowanego w firmie Balt. Siada i unosi ręce, widząc na pulpicie nuty, które za chwilę usłyszą zebrani.

Tu koniec. Nie wiemy, co zabrzmie na strunach zacnego instrumentu pod palcami rewolucjonisty: skowyt, czy krzyk?

## CHŁOPIEC LATAJĄCY

Szanowny Panie Komisarzu,

serdecznie dziękuję za umożliwienie mi złożenia tych zeznań na piśmie, co pozbawiło mnie wątpliwej przyjemności odwiedzenia lokalnego cyrkułu policji. Dziękuję, że uznał Pan mój podeszły wiek za okoliczność ważną i mogę teraz zaspokoić pańską ciekawość w komforcie zacisza mojego gabinetu, przed czystą kartką papieru, a nie przed lampą skierowaną w twarz przesłuchiwanego. Postaram się odwzajemnić Panu na tyle skrupulatnym opisem nieszczęsnej postaci zmarłego tragicznie prezesa Brussa, na ile tylko pozwoli mi osiemdziesięcioletnia głowa byłego naukowca i byłego wychowawcy. Na pewno wyjdzie to lepiej niż notatka jakiegoś służbisty o tym, co mu mogłem powiedzieć. Pismo zmusza do dyscypliny – i tej – jak umysł starca mi pozwoli – będę się starał trzymać.

Zacznę zatem od początku, czyli od dnia, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem przed sobą obecnego denata, prezesa związku aptekarzy, właściciela bardzo rozbudowanej apteki, zacnego obywatela naszego miasta, pana Brussa.

Było to jakiś czas po miejskim festynie, który, o ile pamiętam, odbył się na tutejszym stadionie dokładnie czterdzieści lat temu. Podczas tego festynu właśnie mój przyszły wychowanek i uczeń, aptekarz Bruss, wlał podstępnie do balonu, którym wzleciała w niebo egzotyczna piękność Victoria Vitolino. Chłopak – wtedy jedenastoletni – wkręcił się na stadion, z którego balon startował, niezwykle sprytnie i niepostrzeżony wdarł się do balonowego kosza, obrzucając potem zaskoczoną panią Vitolino wzrokiem na pół niewinnym, na pół lubieżnym. Nie wiem, co sprawiło, że nie wyrzuciła go z kosza na murawę, nie wiem, co jej powiedział, aby spełnić swoje marzenie, dość że wzięła go na „przejażdżkę” balonem mimo to, iż zdawała sobie sprawę ze słonej grzywny, jaką niebawem musiała

zapłacić za zabranie w powietrze cudzego dziecka bez zgody jego ojca.

Mnie do miasteczka naszego sprowadził właśnie ojciec Brussa, również aptekarz, pragnąc dziecko „na ludzi” wykierować. Przyznam, było to trudne, nawet dla mnie, wówczas fachowca od karkołomnych pedagogicznych zadań, a dla ojca naszego nieszczęsnego bohatera – chyba niemożliwe.

Przypominam Panu, że był to rok 1873 i świat inaczej wtedy wyglądał, ludzie byli inni, mniej ośmieleni, bardziej konserwatywni, dlatego na ich tle nasz młody Bruss był niezwykle ewenementem. Ojciec jego postawił przede mną trudne zadanie – ale takie właśnie wyzwania wtedy lubiłem. Nie interesowali mnie średniacy, nijakie dzieci, bezduszne kukły odtwarzające rzeczywistość jak małe, zaparowane lusterka. Szukałem niezwykłości, tych nielicznych ponadprzeciętnych, którzy świat mogliby wysadzić w powietrze, gdyby im kto dość dynamitu naprodukował.

Taki był młody (wtedy) Bruss. Bez ogródek opowiadał mi o swych wyczynach, dokonywanych wraz z kumplami jego, którymi dowodził bezspornie, Olkiem i Felkiem. Szyldy na zakładach miejscowych sklepów, knajp, zakładów pogrzebowych i aptek podmieniali, aby zmylić idących po leki i do baru ich skierować. Psy biegające po parku demolowali behawioralnie, śmiejąc się później, że pan psa woła go do nogi, a pies ucieka. Nie był jednak Bruss nieudacznym półgłówkiem, co w nieświadomości i z nieświadomości świat chce podpalić. Był geniuszem.

Wiem, Panie komisarzu, że w kontekście tego zeznania, sporządzonego przeze mnie na okoliczność tragicznej śmierci Brussa, śmierci pozornie bezsensownej, oświadczenie moje o jego „geniuszu” brzmieć może dziwnie. Ale tak było.

Bo, przyzna Pan, niecodzienna to historia z roku 1873, że ponętna Włoszka żyjąca z eksponowania się we wzlatującym balonie, ryzykuje wiele, aby uczynić zadość zachciance jedenastolatka. Niech sobie Pan przy tym uprzytomni, że tęsknota za lataniem była wtedy niemal niemożliwa do spełnienia, balonów bowiem było mało, a samolotów wcale. A Brus chciał polecieć wysoko. I to bardzo chciał.

Temu, że udało mu się polecieć, zawdzięczam swoją obecność w tym mieście, gdyby bowiem nie był aż tak zuchwały, jego ojciec nie zainwestowałby w tak sławnego jak ja, wówczas, pedagoga, aby sprowadził jego latorośl „na ziemię”. Przyznam szczerze – nie byłem tanim pracownikiem. Ze ćwierć dochodów z apteki szło na moje wynagrodzenie. Ale cóż – jedyny syn, dziedzic rodzinnej fortuny, widać był tego wart.

Rachunek ekonomiczny dopiął się i nawet zwielokrotnił. Inwestycja starego Brussa zwróciła się, patrząc na majątek denata, wielokrotnie. Młody Bruss tę sprawność w interesach też mnie zawdzięcza. Potrafił swój geniusz opanować i zaprząć do codziennej, brudnej, trudnej, nudnej roboty. Po śmierci ojca stworzył ogromne aptekarskie imperium, został prezesem największego w kraju aptekarskiego stowarzyszenia, pociągał za sznurki na rynku leków jak aktor kieruje bezwolnymi kukiełkami. Zdobył fortunę, a przy niej piękną żonę i niezwykle lotną umysłowo córkę, która teraz nie bardzo wie, co ze sobą zrobić po śmierci ojca. Ale niech się Pan nie lęka o te zagubione pozornie dziewczę – wynajmie „ekonomę” do zarządzania fabryką aptek i zostanie poetką. Może nawet feministką albo, nie daj Boże, lesbijką. Talent ma tego rodzaju, że do wszystkiego się nada.

Co do samego dnia wypadku, kiedy pan Bruss zginął, wiem, że miałem jakieś złe przeczucie. Siedziałem na ławce w parku widząc naprzeciw wejście do domu Brussa, i wejście do jego apteki. Widziałem tych, którzy wchodzi, i tych, co wychodzą. Wyobrażałem sobie, co tam się w środku dzieje, choć nie chciałem sobie wcale tego wyobrażać. Ale coś mnie zmuszało do tego wyobrażania sobie ostatniego dnia życia mojego najważniejszego wychowanka. Siedziałem i pozwalałem pracować mojemu umysłowi obrazami.

Oto wchodzi do domu Brussa Helena, sekretarka. Wiedziałem od dawna, że się ona w Brussie potajemnie kocha, nieszczęsna młódka, że dwadzieścia lat młodsza od obiektu westchnień, wreszcie wyzna mu miłość. Zapewne wyznała. Gorąco i licząc na jakąkolwiek wzajemność, na poruszenie uczuć. Nic z tego. Bruss czuje tylko jedno – latanie wysoko. Z Heleną wyżej nie wzleci, wzięłyby tylko na sie-

bie niechciany ciężar skrywanego z trudem romansu. Odmawia więc skrupulatnie racjonalnie, chłodno, obojętnie. Ale, broń Boże, sekretarki nie zwalnia, wie bowiem, że w końcu obrazi się na jego obojętność i potraktuje poważnie młodego szefa jego laboratorium, który wzięłby ją w ciemno w każdej chwili, zakochany po uszy w pięknym ciele i lotnej głowie. Sekretarka wychodzi smutna i przygnębiona. Więc zgadłem. Lubię swoją ławeczkę proroka naprzeciwko apteki.

Potem wchodzi młody malarz, który od kilku tygodni próbuje zrobić karierę portrecisty i plakaciarza w naszym mieście. Pewnie przyniósł Brussowi nowy projekt reklamy jego najważniejszego leku – neotranu. Bujna wizja malarza wyśmiana zostaje przez aptekarza. Malarska wizja musi być taka, żeby była reklamowo skuteczna. Nic tu nie ma być piękne – ma przyciągać oko. Malarz protestuje – lecz w końcu ulega sugestiom Brussa – wszak nie ma z czego żyć, a aptekarz rzuca mu jakieś pieniądze, jakieś zaliczki, jakieś nadzieje na więcej. Malarz wychodzi z apteki zadowolony – lecz niepewny. Co usłyszał? Muszę zgadywać, ale założę się, że coś w tym rodzaju: „Pan mi dziękujesz, ale nie masz za co. Czy rolnik dziękuje krowie za to, że je jego trawę, a potem daje mu mleko? Pan jesteś tą krową, co mi reklamy wymaluje, a moja knajpa tą łąką, która ma Pana wykarmić. Jedz więc do syta – i maluj.”

Czy jestem dumny ze swojego ucznia? Nie. Może to Pana Komisarza zdziwi, ale nie jestem z niego ani trochę dumny. Towarzyszyłem mu od jedenastego roku życia, od chwili, gdy jego ojciec lot balonem potraktował jako wyzwanie rzucone światu zbyt poważnie, aby nie zareagować. Wiedziałem o nim wszystko, kiedy go „urabiałem” dla świata, i wiem o nim teraz wszystko, bo mnie jako obiekt oddziaływań zafascynował. Jemu wydawało się, że jesteśmy wobec siebie całkowicie szczerzy, ale ja wiem, że nie byliśmy.

Rozmawialiśmy bez uprzedzeń o wszystkim – on wiedział, że zrobiłem z niego skutecznego biznesmena i zadowolonego burżuja, ale nie miał wyjścia: urodził się jako burżuj więc mógł tylko korzystać z burżujskich przywilejów świadomie i w pełni – albo nieszczerze zaprzeczyć swojej pozycji i możliwościom i wejść w totalny konflikt

ze światem, burząc wszystkie dostępne mu dobra: rodzinę, aptekę, związek aptekarzy, któremu przewodził, pozycję w mieście.

Rozmawialiśmy o wszystkim – ale o jednym nie. Kiedyś przypadkiem dowiedziałem się od zaufanych moich donosicieli, że Bruss załatwił miejsce w naszym miejskim domu starców pewnej starej Włoszce, Victorii Vitolino. To ta, co go balonem jako jedenastolatka przewiozła. Nie wnikałem, dlaczego chce ona być właśnie u nas w domu starców, a nie w Neapolu czy Wenecji. Nie to jednak jest najważniejsze: Bruss starał się ukryć przede mną ten fakt i wierzył do końca, że go ukrył. Victoria Vitolino mieszkała w naszym domu opieki jako Anna Wiśniewska. Była nieco młodsza ode mnie, ale już mało sprawna, sama nie chodziła. Nikt jej w miasteczku nie rozpoznał po czterdziestu latach, nikt się nią nie interesował. Bruss wyśmienicie wyczuł sytuację: nikt nie spostrzeże, że bogaty aptekarz lokuje w miasteczku swoją pierwszą dziecięcą miłość, swoją panią z przestworzy, swoją mistrzynię latania.

Nie ukryję przed Panem, wszak wyśmienitym śledczym, faktu, że to zdarzenie skłoniło mnie do refleksji, iż na swojej pedagogicznej drodze w gruncie rzeczy poniosłem klęskę. Oto uczeń i wychowanek już dorósł, samodzielny, zataja przede mną, starcem, fakt, iż swą dziecięcą fascynacją ukrył przede mną tuż od moim nosem.

Pytał Pan, Komisarzu, czy w dniu śmierci tragicznej Brussa zauważyłem coś niezwykłego, niecodziennego, jakiś ślad nadzwyczajności, który tezę o nieszczęśliwym wypadku mogły obalić. Nie. Nic nadzwyczajnego, dla mnie, nie było. Siedzieliśmy przy kolacji w ścisłym rodzinnym gronie, kiedy nagle wpadł ktoś z podwórka i powiedział, że dom starców, tuż obok apteki, pali się. Bruss zbystrzał, ożywił się, wstał nagle i podbiegł do ona, które na ten dom starców wychodziło. W oknie stała kobieta. Budynek płonął. Spojrzałem i ja. Poznałem tę kobietę. To była bohaterka lotu balonem sprzed czterdziestu lat.

Proszę wybaczyć mi śmiałość i uzurpowanie sobie prawa do przewidywania rzeczy nieprzewidywalnych – ale już wtedy, w pierwszej chwili, wiedziałem, co będzie dalej. Bruss za kilka dni skończyłby 51 lat. Nie chciał dożyć tego wieku. Nie chciał być starszy niż pól

wieku. Bał się starości. Bał się upośledzenia, niedoskonałości, uzależnienia od innych. Zbyt lubił latać, aby prosić o wsparcie. W mgnieniu oka podchwycił okazję. Mógł umrzeć – i to umrzeć pięknie. Więc umarł, ratując staruszkę podczas pożaru domu opieki. Tak będzie tu pamiętany.

Być może ten pożar w domu starców był przypadkowy, choć dla mnie przypadkowy nie był, bo w tym właśnie dniu świętowałem w domu Brussa swoje osiemdziesiąte urodziny. Widziałem Brussa biegnącego ku pożarowi, na którego tle widniała stojąca w oknie płonącego domu piękna jednak, choć stara, postać Victorii Vitolino. On, pięćdziesięciolatek, wyrwał się spod mojej nieustającej kurateli, kurateli osiemdziesięciolatka. Pobiegł za swoim dzieciństwem, za swoimi marzeniami, za swoją nicością, przed którą chronilem go przez czterdzieści lat. Moja smycz zawiodła. Wiedziałem, że żaden protest na nic się nie zda. Bruss gnał ku włosce i ku śmierci jak szalony. Był szalony.

Zatem, Panie Komisarzu, wykluczyłbym udział osób trzecich w spowodowaniu tej śmierci. Wykluczam to oczywiście tylko psychologicznie, tylko jako emerytowany były pedagog.

Jedno tylko nie pozwala mi zasnąć, więc podsuwam panu temat śledztwa być może w tej sprawie przełomowego, odmiennego od sztampy policyjnych domysłów: dlaczego dom starców w naszym mieście spłonął? Czy ktoś go podpalił? Czy służby sprawdzają wersję podpalenia jako przyczynę pożaru?

Proszę pamiętać, Komisarzu, pedagogika stosowana blisko jest psychologii. Kto miał interes w tym, aby dom starców spłonął? Żona Brussa? Zakochana w nim sekretarka Helena? Koledzy córki, namówieni przez nią? Kto znał tajemnicę Victorii Vitolino, fascynacji Brussa?

Pytania, Szanowny Komisarzu, mnożą się w nieskończoność, kiedy o tym myślę. Staram się pisać do Pana szczerze, więc tych dodatkowych wątków ukryć nie zamierzam.

Serdecznie dziękuję za uchronienie mnie przed przesłuchaniem. W okolicznościach oficjalnych wolę pisać niż mówić. Napisałem



więc całą prawdę i tylko prawdę. A nawet jeśli nie całą, to tylko z racji wieku i niepamięci.

Pozostaję z szacunkiem dla Pana i Jego urzędu.

*Profesor .....*

## ZEGAREK

„W nakręcanym codziennie zegarze  
Wskazówki dawno odpadły  
A ciężary nieznanymi wydarzeń  
Na dwoje wróżą z wahadła...”

Czy ktoś jeszcze wierzy w to, że prawda nas wyzwoli? Chyba tylko ten, co to powiedział, choć nie wiadomo do końca, czy naprawdę istniał. Cóż to zresztą jest prawda, skoro nawet filozofowie spierają się o jej właściwą istotę, o sens adekwatności myśli i rzeczy, słowa i czynu.

Prawdą jest tylko to, że biją zegary. Że zegary chodzą i z grubsza rzecz ujmując chodzą równo, różniąc się między sobą w sposób dla laika niezauważalny. Tylko te bijące ujawniają czasem niedoskonałość, zdradzoną zbyt późnym lub zbyt wczesnym uderzeniem. Te, co tylko chodzą, nie bijąc, skazane są na bolesną anonimowość, chyba że prezentują sobą wartość inną niż precyzyjne odmierzanie czasu: na przykład stanowią cenną lokatę kapitału.

W pracowni zegarmistrza zegarów jest w bród. Tykanie i bicie pokazuje tę piękną iluzję prawdy, tę znamiennej adekwatność i jednocześnie, które pozwalają mieć jeszcze złudzenie, że prawda nas zaiste wyzwoli. Nieważne, że wyzwolenie poprzez taką prawdę wikła nas w niewolę czasu, w jednolity dla wszystkich schemat odmierzonych skrupulatnie chwil poprzednich, teraźniejszych i następnych; jest nadzieja, co pętlę wiąże.

W pracowni zegarmistrza, w jakimś niewielkim miasteczku, jest mistrz i jest uczeń. Pracują zgodnie nad przywracaniem czasomierzom klientów wymiaru prawdy, czyli dokładności mierzenia czasu, jakiego klienci oczekują. Mistrz jest tu u siebie – bo jest właścicie-

lem zakładu. Uczeń też jest u siebie, bo ojciec ucznia przyjaźnił się kiedyś ze starym zegarmistrzem i przed swoją śmiercią syna mu pod opiekę polecił.

Zajrzyjmy przez okno pracowni i podziwiamy ich zgodny trud, bo niebawem spokój tego miejsca zostanie zachwiany i już nigdy nie powróci.

Stary zegarmistrz Arten ma zwyczaj wychodzić w ciągu dnia do cukierni, gdzie zagłębia się na pół godziny w polityczne spory, zostawiając na posterunku ucznia Jana.

Tak było i tym razem. Zegarmistrz wyszedł, uczeń przyjął krótką wizytę zaprzyjaźnionego mecenasa, a gdy mistrz wrócił, nic już nie było takie samo.

Z gabloty za plecami ucznia zginął drogi zegarek, jeden z tych, których celem istnienia nie jest odmierzenie czasu, lecz lokowanie kapitału. Stary Arten denerwuje się i próbuje ustalić, co się z zegarkiem stało. Wypytuje Jana, ale ten nic nie wie. Zdenerwowanie daje o sobie znać w sposób doskwierający i zniewalający. Wszak nie ukradł zegarka mecenas, nikogo innego tu nie było, zatem wychodzi na to, że złodziejem jest Jan.

Stary zegarmistrz Arten grupuje cenne spostrzeżenia: widział niedawno Jana, dziewiętnastolatka, pod rękę z jakąś panną. Wszystko jasne. Ubogi uczeń chce zdobyć kobietkę, więc zegarek kradnie. Może nawet więcej – to ona odebrała spod drzwi pracowni cenny łup – i teraz szukaj wiatru w polu.

Uczeń pod przymusem i zagoniony w kozi róg zawiera z mistrzem ugodę: wyjedzie, zniknie, a jak będzie mógł, utratę zegarka spłaci, a za to Arten policji nie wezwie i przed nikim Jana o kradzież nie oskarży.

Cóż zrobić? Trzeba wyjechać. Wszak wszędzie zegary chodzą w tym samym tempie i o tych samych porach biją. Jan tuła się kilka lat po kraju, po czym wyjeżdża do Szwajcarii. Tam, w ojczyźnie zegarmistrzów i przytułku anarchistów, robi w swym zawodzie karierę.

„W nakręcanym codziennie zegarze  
Wskazówki dawno odpadły  
A ciężary nieznanymi wydarzeń  
Na dwoje wróżą z wahadła...”

Po latach co najmniej dwudziestu przychodzi do Jana, obywatela Szwajcarii, raczej zegarmistrza niż anarchisty, list. Pisze jakaś tajemnicza dama z Polski, że chce z nim mówić. Jan nie odpisuje, bo właśnie podróż do kraju młodości planował, więc jedzie. Spotyka się ze starszą kobietą, która, jak się okazuje, jest siostrą nieżyjącej już żony zegarmistrza Artena. Kobieta opowiada mu, jak to było z kradzieżą. Prawda odsłania obszary kłamstwa. Jan wzdryga się, lecz słucha.

Żona zegarmistrza miała młodego „przyjaciela”, co popadł w dług. Jej mąż był sknerą, więc wsparcia z dochodów małżeńskich dla kochanka ukryć by nie mogła. Musiała więc ukraść coś cennego, czyli ów nieszczęsny zegarek. Jan siedział nad jakimś zepsutym czasomierzem, wozy konne hulały po bruku ulicy, więc Jan nie słyszał, jak żona szefa zakrada się do gabloty i przedmiot drogocenny zeń wyjmuje. Chwila. Kilkanaście sekund.

A potem całe życie Jana, tymi kilkunastoma sekundami naznaczone na lata.

Nie, żeby żałował tego, kim i czym jest dzisiaj. Wszak ma dobry zawód, który lubi, znaczne dochody, społeczną pozycję w nowym kraju. Może nawet podyskutować z anarchistami, kiedy najdzie go ochota podważać istniejący porządek. Ale coś jest nie tak.

Siostra żony mistrza ostrzega Jana, że bardzo już stary Arteneo niczym nie wie, bo wiedza o zdradzie żony, już nie żyjącej, i jego pewnie natychmiast by zabiła. Wszak chodzi co tydzień z kwiatami na jej grób i całe swoje samotne życie jej opowiada w pustkę.

Jan jest jednak nieubłagany i zamierza Arteneo odwiedzić, zaprezentować mu zasłyszaną właśnie opowieść i tym samym oczyścić się z zarzutów. Prawda ma wszak wyzwalać, więc niech choć mnie wyzwoli, jestem tego wart – myśli Jan. Za te wszystkie lata, kiedy

byłem w niełasce u swego byłego mistrza, za to upokorzenie niesłusznego posądzenia, za tę tułaczkę i niewygody emigracji, wreszcie – w imię prawdy, tak reklamowanej w świecie, tak ważnej w deklaracjach zacnych ludzi, tak mocnej w teorii.

Idzie Jan do starego Artena pewien swego, pewien tego, że opowie mu o niewątpliwych faktach sprzed dwudziestu lat, być może nawet w swej zapalczywości fakty te nazywa w swej głowie prawdą. Wchodzi do pracowni, dobrze mu znanej, i widzi półślepego starca pochylonego nad skomplikowanym mechanizmem. Starzec ledwie go rozpoznaje, ale wita uprzejmie.

Jan mięknie. Chce bardzo niewinność swą udowodnić, lecz wie, iż nie wszystkich dostępnych mu narzędzi będzie mógł użyć. Używa więc podstępu: należność za niby ukradziony zegarek wkłada na oczach Artena do skarbonki na zasilenie domu starego zegarmistrza. Opowiada niezbornie, lecz wiarygodnie, że to nie on był złodziejem, bo gdyby nim był, czy teraz wróciłby z pieniędzmi nienależnymi zegarmistrzowi, aby niewinność udowodnić?

Starzec dopytuje jednak o prawdę. Skoro nie Jan, to kto ukradł?

Diabeł – twierdzi Jan z przekonaniem. Niezbadane są ścieżki złego i nieodkryte jego moce. Może wejść drzwiami z ulicy, drzwiami od domu, nawet kominem. To musiał być diabeł.

Stary Arten Janowi wierzy. Też ma swoje porachunki z prawdą, a skoro w Boga wierzy, to czemu by nie uwierzyć i w diabła? Tym bardziej, że w politykowanie w cukierni już się nie bawi, woli siedzieć sam, w pustej pracowni obok pustego domu, i pielęgnować pamięć ślicznej, kochającej, młodo zmarłej żony.

Opowiada jej wszystko przez grobową płytę każdej niedzieli. I to jej opowie – tę niezwykłą ingerencję czarta. Ciekawe – cóż może na świecie diabeł. A taki wydaje się niepozorny, niewart wiary, niewart uwagi.

Dość już o bezsile prawdy i o mocach diabła. Skoro dwa razy cytowaliśmy tu wiersz Kaczmarskiego, zacytujmy go i po raz trzeci. Jeśli nie prawda – może zwrotka poezji nas wyzwoli:

„W nakręcanym codziennie zegarze  
Wskazówki dawno odpadły  
A ciężary nieznanymi wydarzeń  
Na dwoje wróżą z wahadła...”



## Treść

|                                   |        |    |
|-----------------------------------|--------|----|
| <u>wprowadzenie</u>               |        | 3  |
| <u>Lekkoduch</u>                  | (1921) | 7  |
| <u>Ptak</u>                       | (1921) | 13 |
| <u>Żeglarz</u>                    | (1925) | 20 |
| <u>Ewa</u>                        | (1920) | 27 |
| <u>Most</u>                       | (1933) | 33 |
| <u>Służbista</u>                  | (1937) | 39 |
| <u>Murzyn</u>                     | (1917) | 46 |
| <u>Papierowy kochanek</u>         | (1921) | 55 |
| <u>Dziewczyna z lasu</u>          | (1938) | 62 |
| <u>Adwokat i róże</u>             | (1929) | 69 |
| <u>Kowal, pieniądze i gwiazdy</u> | (1947) | 75 |
| <u>Dziewięć lat</u>               | (1958) | 80 |
| <u>Fortepian</u>                  | (1932) | 84 |
| <u>Chłopiec latający</u>          | (1948) | 91 |
| <u>Zegarek</u>                    | (1936) | 98 |